

Zwrot

6
24

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 KČ
WWW.ZWROT.CZ



MATEUSZ FAJKUS

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

1 Miejskowe Koło PZKO w Trzycieżu po raz pierwszy zorganizowało tradycyjny obrzęd *stawiania maja*. W wydarzeniu wzięły udział liczne rodziny z dziećmi, które były szczególnie zadowolone z oferty przygotowanej specjalnie dla najmłodszych. Dzieci ozdabiały drzewko, które potem zostało umieszczone na szczycie maja. ▼



1 Miejskowe Koło PZKO w Orłowej zorganizowało Dzień Sportowy, podczas którego członkowie i sympatycy koła wybrali się na wspólny rajd rowerowy. Trasa prowadziła przez malownicze okolice Karwińskiego Morza, Zawady i Dzieńmorowic. Po powrocie uczestnicy kontynuowali aktywności sportowe, uczestnicząc w różnych grach i zabawach na świeżym powietrzu. ▼



2 Marszałek Senatu RP Małgorzata Kidawa-Błońska przyjechała na Zaolzie z okazji Dnia Polonii i Polaków za Granicą oraz Dnia Flagi RP. W Czeskim Cieszynie odwiedziła Szkołę Podstawową z Polskim Językiem Nauczania, gdzie uczestniczyła w występie chóru *Trallala*. Przekazała również na ręce dyrektora polską flagę. Następnie odwiedziła Polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, gdzie dyskutowała z młodzieżą. W Centrum Polskim Kongresu Polaków wręczyła Karty Polaka dziesięciu osobom. Na koniec spotkała się w Domu PZKO w Mostach koło Czeskiego Cieszyna z przedstawicielami polskich organizacji, omawiając ich działalność i problemy, z jakimi się borykają. ▼



2 Uczniowie polskiej szkoły w Nieborach pod opieką nauczycielki Magdaleny Żalisz odwiedzili Izbę Tradycji w miejscowym Domu, aby poznać historię Karola Pawli-

cy, znanego jako Samuraj z Nieborów. Sylwia Grudzień, opiekunka Izby, opowiedziała o jego działalności w czasie I wojny światowej oraz jego wkładzie w ratowanie polskich dzieci z Syberii. Uczniowie mieli możliwość zobaczyć dokumenty, zdjęcia i pamiątki związane z Pawlicą. ▼



4 Zespoły folklorystyczne *Zaolzi* i *Zaolzioczek* świętowały dwudziestolecie działalności jubileuszowym koncertem w Rock Café Southock w Jabłonkowie. Widzowie obejrzeli widowisko *Bajka o diablom młynie na Girowej*, które składało się z tańców z repertuaru zespołu od jego powstania. Program przygotowali Lucie Peter Tomek i Michal Nemeč. W spektaklu wystąpili różne pokolenia tancerzy. Gratulacje z okazji jubileuszu złożyli przedstawiciele regionalnych zespołów folklorystycznych. ▼



5 W wieku 73 lat zmarł Tadeusz Wantuła, z wykształcenia filolog i filmoznawca, działacz społeczny i kulturalny, polityk. Był znany ze działalności kulturalnej na Zaolziu, m.in. jako organizator Melpomenek, Cierlickiego Lata Filmowego i Złotów Młodzieży. Od roku 1989 zaangażował się w działalność polityczną, był posłem Czeskiej Rady Narodowej. Należał do pomysłodawców powstania Rady Polaków w Czechosłowacji (dziś Kongres Polaków w RC). Promował na Zaolziu polską kulturę i sprowadzał tu szereg wybitnych postaci świata kultury i sztuki.



6 Członkowie stowarzyszenia Rodzina Katyńska w RC spotkali się pod Tablicami Katyńskimi na Koneszyńcu, aby uczcić kilka ważnych dla Polaków rocznic, w tym rocznicę Konstytucji 3 maja, Dzień Polonii i Polaków za granicą, Dzień Flagi RP oraz rocznicę zakończenia II wojny światowej. W tym roku wspomniano również 80. rocznicę bitwy pod Monte Cassino. Odczytano list konsula generalnej RP w Ostrawie, a także wiersz *Czerwone Maki na Monte Cassino*.

7 W Nydku odbyła się tradycyjna *Potańcówka we stodole*, zorganizowana przez Turystyczne Centrum Informacji *Drzewiönka*. Michał Milerski opowiadał o historii tańca *owiyñzioka*, a następnie wraz z żoną Danką prowadził warsztaty taneczne. Muzykę zapewniła kapela *Bezmiána*. W trakcie imprezy uczestnicy mogli również podziwiać wystawę poświęconą poetce Anieli Kupiec, przygotowaną przez Mariana Stefka z Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w RC.

8 W Oldrzychowicach członkowie Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego uczcili pamięć ofiar II wojny światowej. W Dzień Zwycięstwa złożyli kwiaty pod pomnikiem upamiętniającym 15 mieszkańców Oldrzychowic, którzy zginęli z rąk hitlerowców, oraz pięciu Polaków straconych podczas pokazowej egzekucji. Uczczono również pamięć Jana Taciny i Henryka Jasiczka, wybitnych postaci związanych z Oldrzychowicami. ▼



8 Na Jaworowym odbyła się Inauguracja zabawy turystycznej *Przez Kopce 2024*. Zgromadziło się na niej około 200 uczestników, w tym członków Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego *Beskid Śląski* i Drużyny Harcerskiej *Czarne Pantery* z Trzyńca. Wydarzenie promuje wędrówki po Beskidzie Śląskim, uczestnicy muszą zdobyć 10 wyznaczonych szczytów do 31 października 2024 roku. Spotkanie zakończyło się ogniskiem i śpiewaniem piosenek turystycznych. ▼



9 W ramach Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego (MUR) odbył się wykład Władysława Michała Żagana o księżnej Elżbiecie Lukrecji, ostatniej władczyni z rodu Piastów na cieszyńskim tronie. Prelegent przybliżył postać księżnej jako stratega, polityka oraz jako człowieka z pasjami i pragnieniami. Wykład obejmował również omówienie jej inwentarza, ujawniając detale z jej życia codziennego. Nagranie wykładu jest dostępne online na portalu Zwrot.cz.

9-10 W Domu PZKO w Jabłonkowie uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza zaprezentowali przedstawienie *Calineczka*. W spektaklu uczestniczyło około 100 dzieci z klas 1-5. Najpierw dzieci wystąpiły dla uczniów okolicznych szkół, później dwukrotnie dla dorosłej widowni.

10 Członkowie i sympatycy Miejscowego Koła PZKO w Lesznej Dolnej złożyli kwiaty przy pomniku ofiar II wojny światowej, który znajduje się nieopodal Domu PZKO. Dalszy ciąg dnia lesznińscy pezetkaowcy spędzili, w ogrodzie Domu PZKO, gdzie odbyło się spotkanie towarzyskie ze smażeniem jajecznicy i zawodami w strzelaniu z wiatrówek.

10 Klub Młodych Polonus z Brna zorganizował wyjazd edukacyjny do Pragi w poszukiwaniu śladów polskiej historii i kultury w czeskiej stolicy. Grupa młodzieży odwiedziła miejsca związane z Polakami, takie jak Pomnik Mikołaja Kopernika, Most Karola oraz polskie tablice pamiątkowe. Wycieczka miała na celu pogłębie-



nie wiedzy o związkach polsko-czeskich oraz integrację uczestników poprzez wspólne odkrywanie dziedzictwa kulturowego.

11 W *Drzewionce* w Nydku odbyło się spotkanie w ramach zabawy turystycznej *Przez Kopce*. Uczestnicy mieli okazję skosztować tradycyjnych placków *na blaszi*. Placki podawano ze *szpyrkami* lub na słodko z cukrem i śmietaną. Dzieci i dorośli uczestniczyli w warsztatach tworzenia sandałów, które prowadziła Anna Michalik. Spotkanie zakończył wykład Józefa Szymeczka o symbolice rzeki Olzy.

12 W Karwinie-Frysztacie odbyła się XXVII edycja festiwalu folklorystycznego *Maj nad Olzą*, zorganizowana przez Zarząd Miejscowego Koła PZKO w Karwinie-Darkowie. W wydarzeniu wzięły udział trzy pokolenia wykonawców, w tym dzieci z przedszkola *Bajlandia*, chór *Lira* oraz Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca *OLZA*. Festiwal promuje tradycje folklorystyczne i łączy różne pokolenia, oferując bogaty program artystyczny. Po zakończeniu występów, uczestnicy spotkali się na przyjacielskich rozmowach przy kołaczach i kawie. ▼



14 W Ambasadzie RP w Pradze odbyła się uroczystość z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Wydarzenie zaszczylił swoją obecnością prezydent Czech, Petr Pavel. W swoim przemówieniu podkreślił znaczenie Konstytucji 3 maja jako symbolu wolności i demokracji. W uroczystości wzięli udział członkowie państwa czeskiego, obecny był m.in. marszałek Senatu RC Miloš Vystrčil, ministrowie, senatorzy. Nie mogło oczywiście zabraknąć Polaków z całej Republiki Czeskiej, w tym również Zaolzia, przedstawicieli świata kultury. Uroczystość rozpoczęła się od wykonania przez orkiestrę wojskową z Wrocławia hymnów Polski i Czech oraz Ody do radości. ▼



ROZMOWA ZWROTU

Mateusz Fajkus:
Basista to łącznik całej kapeli | 4

PSZCZELARSTWO

Życie pszczelarza w Tanzanii | 8

GALERIA ZDJĘĆ

Bystrzycki Złot w obiektywie | 10

REGION

Rada Przedstawicieli Kongresu Polaków
w Republice Czeskiej
ma nowego przewodniczącego | 12

LITERATURA

„Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak
Inspirująca opowieść
o naszych babkach i prababkach | 15

NASZE KLUBY

Sekcja sportowa przy
MK PZKO Orłowa-Lutynia | 18

PAMIĄTKA RODZINNA

Ostatni list z obozu
Wspomnienia i pamiątki rodzinne
Bolesława Suchanka | 20

WSPOMNIENIA

Pamiętnik nauczyciela z Michałkowic.
Wspomnienia od najmłodszych lat,
cz. 8 | 25

ROZMOWA

Izabella Wołtejo-Chwastowicz
To było bardzo nietypowych pięć lat | 32

RECENZJA

Nie rosół, a flaki z olejem | 38

SPACER ZWROTU

Spacery Zwrotu z prezesami
Miejscowych Kół PZKO:
Karwina-Nowe Miasto | 40

Jesteśmy tam, gdzie coś się dzieje.

Sprawdź na:

www.zwrot.cz



Festyn szkolny w Gnojniku. Uczniowie podróżowali przez historię muzyki



Halina Mlynkova w tym roku obchodzi 25-lecie swojej kariery. Planuje przeprowadzić do Katowic



Jubileuszowe XXX Spotkanie Biznesu w Ostrowie. Obrady zakończono spotkaniem w ogrodach Konsulatu Generalnego



Roztańczony festyn. Udana zabawa uczniów wędryńskiej polskiej szkoły i ich bliskich



Najnowszy numer



Z POCZTY REDAKCYJNEJ: Fascynująca podróż młodziaków z Bystrzycy śladami profesora Kornela Michejdy



W czwartek rusza Festiwal Słonowat. W programie wystąpi również polski wykonawca



130. rocznica największego górniczego wypadku w regionie. Godnie uczczono pamięć ofiar



Aromat dawnych mistrzów: Jak pachnie „Dama z gronostajem?”



Podczas Święta Trzech Braci powstał największy wafel Prince Polo w Polsce. Podzielono go na 8500 porcji



Z POCZTY REDAKCYJNEJ: Jajecznicia i Dzień Dziecka w Nydku



Festyn na Dzikim Zachodzie: Szkoła w Odrzyżychowicach świętowała zbliżające się założenie roku



Piłkarskie mistrzostwa Europy. Polska przegrała z Holandią 1:2



W OBIEKTYWIE: Festyn szkolny w Gródku

NEWSLETTER

NAJWAŻNIEJSZE
WYDARZENIA NA ZAŁOŻENIU
W TWOJEJ SKRZYŃCE!

Podaj swój e-mail

ZAPISZ SIĘ!

DLA PRENUMERATORÓW

KALENDARZ WYDARZEŃ

czerwiec 2024

P	W	Ś	C	P	S	N
				1	2	
3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23
24	25	26	27	28	29	30
« maj			lip. >			

NAJCIĘŻSZE CYTANE

zwrot

magazyn regionalny

nr ewidencyjny MK ČR E 389
rok LXXV, nr 895, IČ 442771,
numer konta: 232992221/0300

Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023–2024.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” imienia Jana Olszewskiego.

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / indj@zwrot.cz
Šárka Michalík / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28,
Český Těšín (Czeski Cieszyn)

czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn)
tel. i faks: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek

Redakcja obrazu i składu: Ivana Havlíková i Andrzej Havlík / info@studiomatrix.cz
Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 18 czerwca 2024 • ISSN 0139-6277



SZANOWNY CZYTELNIKU

Zapraszamy do wsparcia zbiórki publicznej na kontynuację remontu budynku biurowego PZKO przy ul. Strzelniczej 209/28 w Czeskim Cieszynie. Dzięki Twojej pomocy będziemy mogli zapewnić nowoczesne i funkcjonalne przestrzenie, które będą służyć wszystkim Polakom na Zaolziu.

DLACZEGO WARTO NAS WESPRZEĆ?

W latach 2018 – 2023 udało nam się zrealizować wiele ważnych projektów w wysokości 18 500 900 koron. Osuszono budynek, wyremontowano piwnice oraz Klub Dziupla, zmodernizowano pomieszczenia na parterze.

Mimo tych sukcesów, potrzebujemy jeszcze Waszego wsparcia na dalszą część remontu w latach 2024 – 2025. W planach mamy remont dachu, czwartego piętra, wymianę okien oraz ocieplenie budynku. Przewidywany koszt to 11 000 000 CZK.

Ten budynek stanie się wizytówką polskiej społeczności w Czechach, symbolizując naszą jedność, historię i aspiracje.

JAK MOŻESZ POMÓC?

Możesz dokonać wpłaty na nasze konto transparentne:

FIO Banka 2602159122/2010

Potwierdzenie o wpłacie dla celów podatkowych można podjąć w Biurze ZG PZKO.

Wspólnie możemy stworzyć lepsze miejsce dla wszystkich Polaków na Zaolziu.

Dziękujemy za wsparcie! Każda wpłata ma ogromne znaczenie!

Zarząd Główny PZKO

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej
Polský kulturně-osvětový svaz v České republice

FASALÓWKA

ZBIÓRKA PUBLICZNA

Cel: Remont siedziby ZG PZKO

Czeski Cieszyn, Strzelnicza 209/28

Konto: 2602159122/2010



QR Platba

BASISTA TO ŁĄCZNIK CAŁEJ KAPELI



ROZMAWIAŁA: IZABELA WACLAWKOVÁ
ZDJĘCIA: MARIAN SIĘDLACZEK

Bycie muzykiem to wcale niełatwa sprawa, szczególnie gdy gra się w jednym dniu kilka koncertów z różnymi wykonawcami. Jednak, kiedy kocha się muzykę, wszystko jest możliwe – Mateusz Fajkus jest tego przykładem. Grać na gitarze basowej zaczął jako samouk, a teraz występuje ze znanymi zespołami nie tylko w naszym regionie.

Czy zawsze chciałeś być gitarzystą basowym?

Nie, w szkole podstawowej zajmowałem się raczej sportem i rysowaniem. Dopiero w ósmej klasie, kiedy z kuzynem słuchaliśmy zespołu The Beatles, wpadliśmy na pomysł stworzenia własnej kapeli. W domu miałem gitarę basową, więc po nią sięgnąłem. Przez pierwsze dwa lata uczyłem się grać samodzielnie, a później, w gimnazjum, przez jakiś czas uczęszczałem do szkoły muzycznej. Następnie przez kolejne dwa lata doskonaliłem swoje umiejętności w konserwatorium w Ostrawie.

Jak byś wyjaśnił osobie, która nie zna się na tym instrumencie, co jest główną rolą basisty?

Gitara basowa jest zarówno harmonicznym, jak i rytmicznym instrumentem. Ma za zadanie łączyć wszystkie instrumenty, a rolą basisty jest, moim zdaniem, scalać całą grupę.

Co Twoim zdaniem jest najważniejsze, żeby być dobrym basistą?

Dla mnie najważniejsze jest to, z jakimi ludźmi gram i czy dobrze się w tej grupie czuję. Dopiero wtedy muzyczne sprawy mogą się rozwijać. Uważam, że basista powinien umieć słuchać innych – jest to bardzo ważne. Możesz być bardzo dobrym muzykiem, ale jeśli nie słuchasz innych i jesteś zamknięty w tym, co sam grasz, to innym nie gra się z tobą aż tak dobrze.

Kto jest Twoim największym wzorem do naśladowania w świecie basu?

Chyba Victor Wooten, choć on jest raczej wirtuozem basowym i postawił swoją karierę na solowej ścieżce. Natomiast jeśli chodzi o basistę, który pełni rolę łącznika całej grupy, to Nathan East, który gra z takimi artystami jak Eric Clapton czy Phil Collins.

Co jest dla Ciebie bardziej satysfakcjonujące – być wirtuozem basowym czy łącznikiem?

Bardziej satysfakcjonująca jest dla mnie rola basisty, który nie jest na pierwszym planie, ale słucha i łączy całą zespół.

Czy można być basistą bez zespołu?

Można, ale takie przypadki pojawiają się raczej w świecie jazzu.

W jakim zespole aktualnie grasz?

Podoba mi się koncept muzyka sesyjnego, który współpracuje z różnymi zespołami i artystami. Aktualnie najczęściej występuję ze zespołem *Noemiracles* oraz ze słowacką piosenkarką Kristíną. Zespół *Noemiracles* jest jedyną kapelą, gdzie pełnię rolę stałego basisty, to znaczy tworzę muzykę, nagrywam w studiu itp. Poza tym są zespoły, z którymi współpracuję jako muzyk sesyjny. Tak właśnie koncertuję na

przykład z Kristíną, czasami z Marketą Konvičkovą. Proces ten polega na tym, że ktoś dzwoni, wysyła nuty, ja się ich uczę, przyjeżdżam na koncert i gram.

Jak doszło do tego, że dołączyłeś do tych zespołów?

Miałem zawsze szczęście, że otaczali mnie dobrzy ludzie. Ponadto, poświęcałem się muzyce, co zaowocowało tym, że poznałem wiele osób ze środowiska muzycznego. Dzięki działalności muzyka sesyjnego, miałem okazję spotkać więcej artystów, którzy później na przykład zadzwonili do mnie będąc w potrzebie.

Nie sprawia Ci później kłopotu przeorientowanie się z jednej kapeli na drugą?

Czasami zdarzyło się, że miałem w jednym dniu trzy koncerty na różnych miejscach z różnymi grupami.





Masz jakiś służbowy samolot?

Jeszcze nie. Ale w rzeczywistości największym kłopotem jest to, że chciałbym być w kilku miejscach jednocześnie. Kiedy ktoś do mnie dzwoni i pyta, czy nie chciałbym zagrać koncertu, zazwyczaj się zgadzam. Potem patrzę do kalendarza i okazuje się, że naobiecowałem więcej, niż jest realnie możliwe w jednym dniu. Wtedy spędzam czas, zastanawiając się, jak się rozdzielić. Niestety, dotychczas nie znalazłem na to sposobu.

Ostatnio, zaraz po odegraniu ostatniej piosenki z Kristíną związałem kable i jechałem samochodem z Terchowej do Ostrawy. Tam od razu wyciągałem instrumenty i zaczynałem grać z *Noemiracles*. Czasami, kiedy już jestem na scenie, zdarza mi się zapomnieć, jakie utwory mamy grać z danym zespołem.

Jak długo i jak często ćwiczysz?

Chciałbym więcej. Im więcej mam ofert do grania, tym mniej mam czasu na regularne ćwiczenie, bo muszę przygotować konkretny materiał na dany koncert. Staram się jednak każdego dnia przynajmniej na chwilę usiąść z gitarą.

W domu ćwiczę materiał, którego muszę się nauczyć, a później w sali prób spotykamy się wszyscy muzycy, już z przygotowanym materiałem, i na próbie wszystko łączymy. Próba nie jest miejscem do uczenia się materiału, ale do zgrania się.

Jak ważna jest dla Ciebie improwizacja w grze na basie?

Myślę, że improwizacja jest bardzo ważna, zarówno dla basisty, jak i dla każdego muzyka, ponieważ w trakcie koncertu często zdarzają się niespodziewane sytuacje. Na przykład, możemy zacząć grać w innej tonacji albo w innym tempie niż było wcześniej ustalone. Czasami wokalista podczas koncertu zdecyduje, że zagramy utwór, którego wcześniej nie ćwiczyliśmy.

Improwizacja wywodzi się z jazzu i uczę się jej w kontekście muzyki jazzowej, co bardzo mi pomaga. Jazz jest gatunkiem, który integruje wiele różnych stylów muzycznych, co ułatwia mi później adaptację i zmiany między różnymi gatunkami muzycznymi.

Chciałbyś grać w jakiejś jazzowej kapeli?

Aktualnie przygotowuję się do udziału w konkursie na basistę ostrawskiego zespołu *Chops*, która gra dosyć ambitną muzykę jazzową. W konkursie weźmie udział kilku basistów, a wybrany zostanie ten, który najlepiej pasuje do zespołu. Jeśli mnie wybiorą, dołączę na stałe do tej ostrawskiej grupy jazzowej.

Czy masz jakieś niezapomniane historie z tras koncertowych?

Często mamy problemy z transportem. Tej zimy jechaliśmy na koncert z folko-

wym gitarzystą i śpiewakiem Pavlem Hełanem do Czech, w trakcie największej burzy śnieżnej. Droga była tak zaśnieżona, że kompletnie nic nie widzieliśmy i z pełną prędkością wjechaliśmy na rondo. Później, na autostradzie podczas zamieci, musieliśmy zmieniać koło zapasowe. Było to dodatkowo utrudnione, bo znajdowało się ono na dnie bagażnika, więc musieliśmy wyładować wszystkie instrumenty. Takie przygody czasami nam się zdarzają.

Czy masz jakąś wymarzoną kapelę, w której chciałbyś grać?

Chyba nie, staram się patrzeć na zespoły z perspektywy trzech kluczowych kryteriów, których się trzymam: po pierwsze, z jakimi ludźmi mógłbym grać – to dla mnie najważniejsze; po drugie, jaki jest styl muzyki, którą wykonują; i po trzecie – z bardziej profesjonalnego punktu widzenia – czy jest za to jakieś wynagrodzenie finansowe. Według mnie największym marzeniem muzyka jest granie w takiej grupie, która spełnia wszystkie trzy kryteria.

Jakie są Twoje, jako muzyka, plany na przyszłość?

Często zadaję sobie to pytanie, ale rzadko otrzymuję odpowiedź. Dlatego pozostawiam tę kwestię otwartą i cieszę się tym, co dopiero nadejdzie. Nie planuję zbyt daleko do przodu.



Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne
Mezinárodní folklorní setkání
The International Folklore Meetings

77.

GOROLSKI ŚWIĘTO

2. - 4. 8. 2024

Lasek Miejski Jabłonków

www.gorolskiswieto.cz

Piątek 2. 8. 2024

Lasek Miejski:

BISTRICA (Bułgaria)

BEFOR - Beskydský folklorní orchestr

ZABIJACZKA - występ Chóru

Męskiego Gorol

Dom PZKO:

Seminarium etnograficzne

Kawiarenka pod Pegazem

- spotkanie literackie

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo
do zmiany programu.

Sobota 3. 8. 2024

Lasek Miejski:

MYGDONIA (Grecja)

AVART (Meksyk)

Tomáš KOČKO & ORCHESTR

+ Vojenský umělecký soubor

ONDRÁŠ

Niedziela 4. 8. 2024

Lasek Miejski:

SALONA (Chorwacja)

GRANDINĒLĒ (Litwa)

FS GYMNİK (Słowacja)

Bilety wstępu - piątek: 200 CZK / sobota: 200 CZK / niedziela:
200 CZK / karnet 3-dniowy do 30. 6. 2024: 350 CZK; karnet
3-dniowy od 1. 7. 2024: 450 CZK / „ZTP”, „ZTP/P” i dzieci
do lat 15 w towarzystwie osoby dorosłej - **wstęp wolny**

 smsticket



KUP BILET LUB
DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



ŻYCIE PSZCZELARZA W TANZANII

ROZMAWIAŁA: BEATA (INDI) TYRNA / ZDJĘCIA: ARCH. PIOTRA NYTRY

Jak wygląda codzienne życie pszczelarza w Tanzanii? Osobiście stwierdził to Piotr Nytra – cieszyński pszczelarz legitymujący się certyfikatem marki „Górolsko Swoboda produkt regionalny,” który wyjechał do Tanzanii, by podpatrzeć życie tamtejszych pszczelarzy. Dzieli się z nami swymi spostrzeżeniami i doświadczeniami z tego egzotycznego dla nas kraju.

Zacznijmy może od tego, skąd pomysł, by wybrać się z brązową wizytą do tak odległego i odmiennego kulturowo kraju?

Dwa i pół roku temu pojechał tu mój serdeczny kolega pszczelarz Tomasz Petryka z Pasieki Petryka. Tak mu się spodobało, że założył tu pasiekę. I wpadł na pomysł, że można zakładać tu ule, dzięki czemu można pomagać lokalnemu społeczeństwu oraz sprowadzić np. miód z eukaliptusa czy innych roślin, których nie ma w Polsce.

A że ja lubię takie wyzwania i nie do końca wierzyłem, że mogę tu założyć pasiekę, bo skąd pszczoły w Afryce, skoro tu jest su-

cho, to nie trzeba było mnie dwa razy namawiać...

Pierwsze wrażenie po wylądowaniu?

Jest więcej roślinności niż u nas. Jestem wciąż w szoku, choć już kawałek tego kontynentu zwiedziłem. Głównie Tanzanię, ale za chwilę lecimy do Etiopii.

Jako pierwszą odwiedziliśmy wioskę plemienia Hadzabe. Są oni pszczelarzami i zbierają miód dzikich pszczoł. Pszczoły żyją w konarach drzew. Smak tego miodu jest niesamowity. Miód zjada się w całości wraz z plastrzem z czerwiem.





A wspomniany przez ciebie kolega założył tam pasiekę taką, jak zakłada się w Europie?

Nie. Założył taką, jak tam jest w zwyczaju, a więc pasiekę na drzewach. I ja również tam założyłem taką.

Do tego został tu zbudowany mur z pszczół, który odgradza park narodowy od wiosek,



żeby słonie nie przechodziły, bo strasznie niszczą uprawy i mogą nawet zabić człowieka, więc lokalna ludność truje słonie, podkładając melona czy arbuza z trucizną.

Mur z pszczół?

Tak. Słoń ze wszystkich zwierząt boi się tylko pszczół. A pszczoły tu są bardziej agresywne niż w Polsce. Dlatego wszystkie ule wciąga się na drzewa. Bo jeśli koza, krowa czy baran potrafi ul, to właściciel płaci za córkę i wnuczkę tej kozy. Zwierzęta gospodarskie to tutaj świętość. A pszczoły i miód to rarytas.

Płot świetnie się sprawdził, więc teraz chcą, byśmy postawili 20 km płotu z pszczołami, bo wciąż przychodzą hieny i atakują dzieci. A strzelać nie wolno, bo każde zwierzę tu jest chronione...

Szukające... A co najbardziej cię zaskoczyło w tanzańskim pszczelarstwie?

Chyba to, że nie używają chemii, nie robią żadnych oprysków, a pszczoły nie mają warrozy czy innych trapiących je u nas chorób. Nie robi się przeglądów tych pszczół, a mimo to nie dziesiątkują ich populacji żadne epidemie.

Miód zbiera się w nocy, ponieważ dopiero wtedy jest chłodno i pszczoły nie są tak agresywne.

Jak bardzo różni się codzienność tanzańskiego pszczelarza od europejskiego?

W Afryce pszczelarz codziennie staje przed wyzwaniem, które dla nas mogą być nie do pomyślenia. Brak prądu, wody, czasem nawet jedzenia. Nie ma nowoczesnych uli, pracuje z tym, co ma – prostymi, tradycyjnymi narzędziami. Codziennie walczy z dzikimi zwierzętami, trudnymi warunkami pogodowymi.

Mimo tych trudności nie poddaje się. Żyje z dnia na dzień, nie martwiąc się o jutro. Gdy jest ciężko, mówi sobie „Hakuna Matata” – nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Jego pasja i miłość do pszczół napędzają go każdego dnia. To prawdziwy bohater, który w prostocie życia odnajduje radość i spełnienie.

Pszczelarstwo tu jest takie, jak było od zawsze – niemal bez ingerencji człowieka. Pszczelarz tylko idzie, stawia ul, smaruje go w środku miętą, żeby zwabić rój.



Są również plemiona, które żyją tak, jak się tutaj żyło od zawsze. Mieszkają w domach ze słomy, ręcznie rozpalają ogień, słowem żyją dokładnie tak samo, jak żyli ich przodkowie setki lat temu.

Na koniec więc zdawać by się mogło nielogiczne pytanie: czy coś ze zdobytych tam doświadczeń i podpatrzonych metod pracy pszczelarza nadaje się do przeniesienia na nasz grunt i zamierzasz to wykorzystać?

To, co tu zobaczyłem, to jest coś pięknego. Jest tak, jak to się u nas kiedyś dawno temu *pszczelarzyło*. Niemniej po powrocie nic z tego nie wykorzystam, prowadząc współcześnie europejską pasiekę. Po prostu warunki są obecnie u nas tak inne. Tak, jak kiedyś pszczelarzyli nasi przodkowie, współcześnie już się nie da. Tu nie robi się naprawdę nic. Przyjeżdżasz w nocy, sprawdzasz, czy zawieszony na drzewie ul jest ciężki i jak jest ciężki, to spuszczasz na dół, otwierasz i zabierasz plastry miodu, które później wkładasz do pojemnika, ubijasz i precedzasz przez szmatę. I tyle. U nas już się używa ramki i miodarek, robi się przeglądy, robimy odkłady pszczele, hodujemy matki itd.





BYSTRZYCKI ZŁOT W OBIEKTYWIE

1 CZERWCA 2024 / ZDJĘCIA: RENATA STASZOWSKA, JOLA IWANUSZEK







RADA PRZEDSTAWICIELI KONGRESU POLAKÓW W REPUBLICE CZESKIEJ MA NOWEGO PRZEWODNICZĄCEGO

ROZMAWIAŁA MAGDA WALACH / ZDJĘCIA: MAGDA WALACH, MARIAN SIEDLACZEK

Skupieni w Radzie Przedstawicieli Kongresu Polaków w RC reprezentanci organizacji członkowskich oraz pełnomocnicy gminni wybrali na nowego przewodniczącego tego gremium Andrzeja Suchanka. Jest on równocześnie wiceprezesem Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC oraz członkiem prezydium Rady Polonii Świata. Z nowym prezesem rozmawialiśmy między innymi o działalności Rady Przedstawicieli, jej celach oraz organizacjach działających w ramach Kongresu Polaków.

Dlaczego zgodziłeś się zostać prezesem Rady Przedstawicieli Kongresu Polaków?

Szczerze powiedziawszy, moja pierwsza reakcja na propozycję, by zostać prezesem Rady Przedstawicieli, była raczej odmowna. Jednak po dokładniejszym przemyśleniu tej oferty, zdecydowałem się ją przyjąć.

Rada Przedstawicieli jest platformą do komunikacji między organizacjami oraz gminami. Należą do niej reprezentanci organizacji członkowskich i pełnomocnicy gminni. Sądzę, że jest wręcz konieczne, aby przedstawiciel PZKO aktywnie angażował się również w działalność Rady Przedstawicieli. To właśnie jeden z powodów, dla których zgodziłem się objąć tę funkcję.





Jak oceniasz dotychczasową działalność Rady Przedstawicieli?

Były czasy, gdy jej znaczenie było powszechnie doceniane, ale również takie, gdy świadomość o jej działalności była mniejsza. Pamiętam nawet okres, kiedy obrady Rady były dosyć burzliwe. Niemniej jednak uważam, że Rada Przedstawicieli jest platformą, na której prowadzi się konstruktywne dyskusje, wymienia poglądy i rozwiązuje aktualne problemy.

W trakcie pierwszego posiedzenia Rady Przedstawicieli mówiłeś na przykład o tym, by ludzie zwracali się z prośbami o pomoc do Rady jeszcze przed posiedzeniem, żeby później – już w trakcie obrad – móc zająć się konkretnym problemem z pewnym przygotowaniem. Planujesz wprowadzić jeszcze jakieś inne zmiany w ramach działalności Rady Przedstawicieli?

To są raczej propozycje organizacyjne. Tu nie chodzi o jakieś zmiany koncepcji czy kierunku działania Rady Przedstawicieli. Chodzi o to, by omawiane sprawy były wcześniej przygotowane, co pozwoli na bardziej konstruktywną i rzeczową dyskusję. Na pewno się jeszcze zastanowimy, czy nie wprowadzić innych udoskonaleń technicznych w komunikacji między członkami Rady Przedstawicieli i jej prezydium. Są to jednak zmiany kosmetyczne, nic zasadniczego.

W moim mniemaniu Rada Przedstawicieli w ostatnich latach działa bardzo dobrze,

więc wraz z wiceprezesem Józefem Szymeczkiem postaramy się utrzymać i kontynuować ten pozytywny trend.

Masz jakieś cele, które chciałbyś podczas swojej kadencji zrealizować?

Przewodniczącemu Rady Przedstawicieli widzę jako moderatora dyskusji, który nie dominuje obrad, lecz sprawnie je prowadzi. Chodzi o to, by każdy miał możliwość zaprezentowania i omówienia swoich problemów oraz bolączek. Nie chciałbym, aby prezes Rady Przedstawicieli był dominującą osobą, która podporządkowuje sobie Radę. Dlatego też nie mam większych ambicji prezentowania własnych pomysłów, poza sprawami związanymi z Polskim Związkiem Kulturalno-Oświatowym, którego jestem wiceprezesem i reprezentantem w Radzie Przedstawicieli. Jeśli PZKO będzie miało potrzebę poruszyć jakiś temat na posiedzeniu Rady Przedstawicieli, oczywiście go przedstawię.

Ma twoim zdaniem Polski Związek Kulturalno-Oświatowy należyte miejsce w strukturach Kongresu Polaków? Czy można według Ciebie jeszcze coś zmienić w stosunkach PZKO i Kongresu Polaków?

Na pewno obecnie niczego bym nie zmienił, bo sytuacja jest bardzo dobra. Nawet nie wiem, czy może być jeszcze lepsza. Może trochę wrócić do historii, aby zwrócić

czytelnikom uwagę, że nie zawsze tak było. Były czasy, kiedy między PZKO i Kongresem Polaków istniały pewne podziały i napięcia. Niestety, w tych czasach byłem po jednej stronie tej barykady i myślę, że to nie był dobry okres dla polskiego społeczeństwa na Zaolziu. Czasy te jednak na szczęście minęły. Sądzę, iż na własnych błędach nauczyliśmy się, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.

Obecnie widać, że współpraca układa się doskonale. Prezesi tychże organizacji wspólnie nas reprezentują, zarówno w Warszawie, jak i w Pradze. Fakt ten jest również akcentowany przez obecny skład prezydium Rady Przedstawicieli, albowiem Józef Szymeczek równocześnie pełni funkcję wiceprezesa Kongresu Polaków, a ja jestem wiceprezesem PZKO.

Co według Ciebie jest ważne dla Polaków na Zaolziu, i co Rada Przedstawicieli w tym kierunku może im zaoferować?

Na pewno kluczowe jest zachowanie polskości, naszej tożsamości oraz pielęgnowanie języka polskiego, kultury i historii. To są główne cele wszystkich organizacji oraz wszystkich Polaków zamieszkałych w Republice Czeskiej.

Rada Przedstawicieli, można powiedzieć, reprezentuje wszystkich, ponieważ składa ją się na nią przedstawiciele wszystkich polskich organizacji oraz gmin, gdzie mieszkają Polacy. To ona jest platformą, na której możemy poruszać trudne tematy,



zwracać na nie uwagę, reagować w przypadku problemów i skomplikowanych sytuacji. Po prostu staramy się utrzymać obecny stan, a jeśli jest możliwość jego rozwinięcia i poprawienia, to tylko lepiej.

A co reszta Polaków żyjących w Republice Czeskiej? Zwracają się na przykład do was z prośbą o pomoc?

Chciałbym zaznaczyć, że często zdarza się nam skupiać w naszych wypowiedziach na Zaolziu, zapominając o Polakach mieszkających w Pradze, Brnie i innych częściach Republiki Czeskiej. Jestem świadom, że tam również żyje duża społeczność Polaków. Mamy z nimi kontakt, spotykamy się na różnych wydarzeniach, ale przyznaję, że odległość geograficzna czasem stanowi wyzwanie, a nasze kontakty mogłyby być bardziej regularne.

Organizacje z Brna czy Pragi składają swoje projekty do Funduszu Rozwoju Zaolzia. Aktualnie Prezes Klubu Polonus z Brna Danuta Kone-Król jest członkiem Rady Kongresu. Zawsze jest miejsce na usprawienie, ale uważam, że nie jest tak źle.

Czy według Ciebie liczba reprezentantów organizacji członkowskich i pełnomocników gminnych, która uczestniczy w posiedzeniach Rady Przedstawicieli, jest wystarczająca?

Jeśli chodzi o udział, oczywiście idealnym byłoby, gdyby frekwencja zbliżała się do stu procent, ale rozumiemy, że nie zawsze każdemu odpowiadają terminy, mogą też wystąpić inne okoliczności uniemożliwiające udział pełnomocnikom w obradach Rady Przedstawicieli. Na ostatnim posiedzeniu frekwencja jednak była całkiem dobra.

Oczywiście istotne są również tematy i sposób prowadzenia dyskusji, które mogą wpłynąć na zainteresowanie programem. Ważne jest, abyśmy przynajmniej utrzymali obecną frekwencję.

Masz może jakiś pomysł, by podnieść tę frekwencję i przekonać, że ich uczestnictwo w posiedzeniach jest ważne?

Na ostatnim posiedzeniu pojawił się pomysł na ponowne organizowanie spotkań pełnomocników gminnych. Celem jest nie tylko formalna wymiana informacji, ale także integracja, aby uczestnicy mogli swobodnie dyskutować o swoich problemach, doświadczeniach oraz potencjalnych rozwiązaniach. Jest to jeden z sposobów, aby zacieśnić współpracę.

Kluczowym elementem, który może zachęcić ludzi do uczestnictwa w posiedzeniach, jest interesujący i konkretny program. Członkowie Rady Przedstawicieli po otrzymaniu programu powinni mieć świadomość, że uczestnictwo w posiedzeniu jest wartościowe i że będą mogli poruszyć konkretne tematy.

Są jakieś organizacje działające przy Kongresie Polaków, które według Ciebie zasłużyłyby na większą promocję?

To jest ciekawy pomysł, ale należy pamiętać, że nie jest to wyłącznie zadanie Rady Przedstawicieli, lecz całego Kongresu Polaków. Niektóre organizacje nie potrzebują dodatkowej promocji, ponieważ potrafią skutecznie promować się w mediach i społeczeństwie, jak na przykład większe organizacje typu PZKO, Macierz Szkolna czy Beskid Śląski. Istnieją jednak mniejsze organizacje, organizacje branżowe, które mogą korzystać ze wsparcia Kongresu Polaków nie tylko w zakresie promocji.

Ten temat możemy poruszyć na Radzie Przedstawicieli, ale rozwiązaniem może być także zwrócenie się do naszych polskich mediów z prośbą o większą promocję tych organizacji.

A jeżeli chodzi o wsparcie finansowe tych organizacji?

Od kilku lat istnieje Fundusz Rozwoju Zaolzia, który został stworzony przez Kongres Polaków w celu finansowania różnych inicjatyw wspierających polskość na tym terenie. Fundusz nie ogranicza się tylko do wsparcia organizacji, ale także otwarty jest na inicjatywy indywidualne, grupowe oraz pasjonatów, które promują polską kulturę i historię.

Chociaż środki Funduszu są ograniczone, stanowią one ważne wsparcie dla mniejszych wydarzeń i projektów, które mogą mieć trudności w pozyskaniu finansowania z innych źródeł. Dodatkową zaletą naszego Funduszu jest to, że projekty mogą być składane kwartalnie, co daje – w porównaniu do innych funduszy – większe możliwości uzyskania wsparcia.



„CHŁOPKI”

JOANNY KUCIEL-FRYDRYSZAK

INSPIRUJĄCA OPOWIEŚĆ

O NASZYCH BABKACH I PRABABKACH

TEKST: RENATA PUTZLACHER, ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORKI

Gdy w lutym br. wręczano Bestsellery Empiku, wyróżnienia dla najpopularniejszych filmów, muzyki i książek, dwie nagrody – w kategorii „Literatura faktu” i za bestsellerowy audiobook – otrzymała Joanna Kuciel-Frydryszak za *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*. Pochodząca z Wrocławia dziennikarka i reporterka jest autorką specjalizującą się w reportażach, pamiętnikach, autobiografiach, biografiach i publicystyce literackiej; przed kilku laty jej bestsellerowe *Służące do wszystkiego* (pierwsza w Polsce książka o polskich służących, o życiu tych *białych niewolnic* służących w obcych domach) uznano za jedną z dziesięciu książek roku 2018 wg *Książek. Magazynu do czytania*. Teraz twarz pisarki znalazła się na okładce tego magazynu, bowiem zespół redakcyjny uznał *Chłopki* za Wydarzenie Roku 2023, a ich wersja dźwiękowa została Audiobookiem Roku 2023. Opowieść Joanny Kuciel-Frydryszak została też uznana za najlepszą książkę 2023 roku podczas X edycji konkursu Nagroda „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej, a w ramach Nagrody Kulturalnej Onetu i Miasta Krakowa O!łnienia zwyciężyła w kategorii literatura.



„Czas gorączkowego poszukiwania herbów się kończy. Mamy już dość tęsknoty za wydumaną wielkością. W latach 90. wszyscy chcieli myśleć, że pochodzą od szlachty. Aspirowało się, nosząc sygnety na małym palcu, kupując obrazy Kossaka do salonu albo budując dom à la dworek. „Pan Tadeusz” był przebojem kinowym. A wieś była szczególnym, mocnym symbolem obskurantyzmu i zacofania. A przecież

w jakimś stopniu prawie każdy z nas ma chłopskich przodków.

W dwudziestolecie międzywojennym, które opisuję w moich książkach, 70 proc. ludzi mieszkało na wsi, w tym ponad 60 proc. zajmowało się rolnictwem, a 27 proc. stanowili robotnicy o chłopskim pochodzeniu. Inteligencja stanowiła zaledwie 5 proc. społeczeństwa. Taka była struktura społeczna. A mimo to o historii opowiadało się prawie wyłącznie z perspektywy inteligencji i szlacheckiej.”

Te słowa pojawiały się w licznych wywiadach z laureatką i wracam do nich po dwu moich poprzednich artykułach, dotyczących *Chłopów*, chłopów i zapowiadanych *Chłopek*, które wreszcie przeczytałam od deski do deski (książka ma blisko 500 stron). Książka Joanny Kuciel-Frydryszak jest bowiem czymś na kształt wyjątkowej kroniki życia kobiet wiejskich, prababek i babek wielu z nas. Często o tym fakcie, o swoich korzeniach w dzisiejszych zabieganych czasach zapominamy, a bywa tak, że niektórzy „światowcy” niechętnie się do tego przyznają.

Zachętą do napisania kolejnego artykułu na ten temat były dla mnie również słowa

wiernego czytelnika „Zwrotu”, Karola Suszki: *Smutno mi się zrobiło, że ten artykuł już się skończył, bo to temat niesamowicie interesujący i dobrze, że Polacy zaczynają w odpowiedzialny sposób podchodzić do tej kwestii.* Książka Kuciel-Frydryszak nazywana jest najważniejszym tytułem ostatnich lat, bowiem wywołała trwającą wciąż dyskusję o przeszłości, o tożsamości Polaków. W jednym z wywiadów z autorką czytamy takie słowa:

„Chłopotomania, ludomania w takim znaczeniu, jakie znamy z historii literatury czy sztuki, oznaczata fascynację ludem zblazowanej inteligencji. W tym, co obserwujemy teraz, nie ma romantyzmu ani nostalgii. To zupełnie inne zjawisko, bo nie zajmujemy się chłopami dlatego, że wydają się nam czarujący, niewinni czy harmonijni z naturą. Piszemy i czytamy o chłopskiej przeszłości, bo interesują nas własne korzenie. To nie mania, a zdrowy odruch świadczący o zmianie społecznej.

Myślę, że trafili mi się czytelnicy marzeń, którzy nie tylko kupili książkę w niewyobrażalnych liczbach, ale też czekają na nią w kolejkach w bibliotekach, a przede wszystkim chcą o niej rozmawiać, dzielić się swoimi przeżyciami, rodzinnymi historiami.”



* * *

O dwudziestoleciu międzywojennym mówimy, że miało szczególne znaczenie w historii Polski, która po ponad stu latach odzyskała pełną suwerenność polityczną, że był to okres rozkwitu polskiej gospodarki, kultury, spraw społecznych. Za sprawą opowieści tytułowych chłopek, które dorastały na wsiach i pamiętają tamtą rzeczywistość, a także dzięki historiom przekazywanym przez ich krewnych, uświadamiamy sobie, że tamten okres miał też swoje mniej radosne oblicze. Oddajmy głos Joannie Kuciel-Frydryszak:

„Jest też i ciemna strona, choćby fakt, że w międzywojennej Polsce analfabetami jest 40 procent chłopów, że co piąte dziecko nie dożywa roku, że higieniści załamują ręce nad brakiem dostępu do toalet i kółtunami na chłopskich głowach, że czarownice nie występują tylko w baśniach braci Grimm, ale są wciąż częścią wiejskiego krajobrazu. /.../ Opowiadam o czasach, kiedy polską, mocno zacofaną wieś, doświadczył kryzys, stąd życie kobiet wiejskich polegało na znoju i zmaganiu.”

Autorka *Chłopek* już w trakcie pracy nad tą książką zastanawiała się, czy ktokolwiek będzie chciał po nią sięgnąć, i czy te historie, będące długą listą krzywd jej bohaterki, nie przytłoczą czytelnika. Jeździła po wsiach i rozmawiała z bohaterkami, ich córkami albo wnuczkami, swój wnikliwy

reportaż oparła też na artykułach z gazet i czasopiśmie, literaturze wiejskiej i pamiętnikach. Korzystała z prac konkursowych kobiet napisanych już po wojnie, ale często opowiadających o dzieciństwie i młodości w II Rzeczypospolitej. W Warszawskim Towarzystwie Pamiętnikarskim zachowały się też prace pisane na konkursy w latach 30., dzięki którym można się dowiedzieć, jak kobiety potrafiły być zaradne nawet w najuboższych rodzinach. W Polsce międzywojennej na wsi czasem jadano wyłącznie szczaw, brukiew, a ziemniaki trzeba było zjadać nawet gdy zmarły lub zgniły.

Chłopki są utkane z okrucichów pamięci różnych rodzin. Autorka opowiada o doli, a raczej niedoli kobiet wiejskich, które mogły być naszymi babciami. Na okładce książki widzimy starszą kobietę, pochyloną pod ciężarem nosideł naramiennych do wiader z wodą. Sprawdziałam, jak określano taki przyrząd: siudy, koromysła, w Wielkopolsce nazywano go szońdami. Ma je na ramionach Bamberka z pomnika-studzienki na poznańskim rynku i przypomniałam sobie, że w czasie Ogólnopolskiego Strajku Kobiet w 2020 roku pojawił się pod objuconą Bamberką napis *Mam dość*. Dziś, gdy dystans dzielący nas od wody w kranie to zaledwie kilka kroków, zapomnieliśmy już o tym, że kiedyś zaopatrzeniem gospodarstwa w wodę zajmowały się głównie kobiety, często te, dla których wiadra z wodą były zbyt ciężkie.

Temat okazał się trudny emocjonalnie – Joanna Kuciel-Frydryszak przez kilka miesięcy pisała książkę jedną ręką, bo-wiem cierpiała na potworny ból barku. Kiedy potem zobaczyła propozycję okładki – kobietę z wiadrami na ramionach – zrozumiała, że ten ból był jakimś rodzajem współodczuwania z tamtymi kobietami. Wiejskie kobiety katorzniczo pracowały, marzyły o zwykłej parze butów i skromnym przyodziewku, wielu z nich nie postano do szkoły, bo zabrakłoby rąk do pracy w gospodarstwie, gdy dorastały, pojawiał się temat przemocy seksualnej, broniły się też przed niechcianymi małżeństwami (często były to związki transakcyjne, czyli sprzedaż kobiet za ziemię), a potem próbowały na wszelkie sposoby wyżywić liczną rodzinę.

* * *

Wiele razy wspomniano, że tę książkę czyta się albo jednym tchem, albo powoli w małych dawkach, że czytelniczki odkładały ją w momentach, które osobiście je poruszały. Kuciel-Frydryszak bowiem koncentruje się na kobietach, czyli grupie najbardziej wykluczonej:

„Jako dziecko pasie gęsi lub krowę. Gdy dorosnie, nie jest do niczego potrzebna. Przeciwnie: obciąża gospodarkę, bo trzeba ją wykarmić, a nie ma czym. Czy tak się narodziło słowo darmożjad? Nie. Dla takich jak ona ekonomiści zarezerwowali bardziej elegancki termin, ale wciąż brutalny: zbędna. Nie ma dla niej pracy, więc nie ma dla niej jedzenia. Jest zbędna. Trzeba ją jak najszybciej wydać za mąż. Chyba że ucieknie do miasta, najczęściej na służącą. Albo na saksy do Francji, Belgii, Niemiec. W Polsce międzywojennej 64 procent gospodarstw na wsi uznawano za niewystarczające, a 40 procent wiejskich kobiet za zbędne.”

Kobieta dorosła miała zająć miejsce na najniższym szczeblu społecznym. Powyżej były zwierzęta hodowlane. Niżej były tylko dzieci. W książce czytamy, że jedna dziewczynka powiedziała w szkole, że *chciałaby być krową i dawać mleko, bo dobrze by jej było w domu*. W domach bieda, zimny chów, bicie żon i dzieci, bo dyscyplina wisiła na futrynie, pięć rzemieni przymocowanych do kopyta albo koziej nóżki... Kobiety wiejskie były cichym bohaterkami. Z cytowanych przez autorkę danych Jana Curytka wynika, że kobieta na wsi pracowała o co najmniej 500 godzin rocznie więcej, czyli o ponad 15 procent dłużej niż

mężczyzna. Podczas gdy kobiety potrafiły zastąpić mężczyzn w pracach polowych, panowie nie wyręczały gospodyń w ich pracy, bo to była „babska robota”. Czytamy też, że działacz ludowy Piotr Świątlik opisując w 1939 roku życie rodziny wiejskiej stwierdził, że nie istnieją „babskie roboty”, tylko zwykły „egoizm chłopski”.

Niektóre kobiety do 8 lat nigdy nie miały żadnego buta na nodze. Jedną z najbardziej przejmujących historii jest ta o córce, która nie miała butów i nie mogła zimą chodzić do szkoły. Jej matka wpadła na oryginalny pomysł i wkładała ją do tobołka na plecach starszego syna. Od wiosny mogła już chodzić boso i w ten sposób dziewczynka ukończyła szkołę. W tamtych czasach dla ludności wiejskiej buty były symbolem godności. Dawne dzieci pamiętają, że dorośli idąc w niedzielę do kościoła, a pokonywali niekiedy wiele kilometrów, nieśli buty w rękach.

Kuciel-Frydryszak tylko potwierdza, że mało w ogóle o tym świecie – a chodziło o ponad 70 procent społeczeństwa II Rzeczypospolitej – wiemy, a nasze wyobrażenie o nim *bardziej ukształtowała cepelia niż rzeczywistość*. Ciekawe jest spostrzeżenie, że wiele podpowiedzą nam zdjęcia, bowiem buty lub ich brak mogą nam pomóc odgadnąć region: *Jeżeli na zdjęciu ukazującym wiejską szkołę wszystkie dzieci mają na nogach buty, możemy być niemal pewni, że fotograf uchwycił je na zachodzie Polski lub na Śląsku*. Dla wielu młodych dziewczyn buty oznaczały wolność: wyjeżdżały na służbę do miasta lub na saksy, za granicę; uciekały też od potęgi ojca, od oschłej lub okrutnej matki, od tóżka dzielonego z rodzeństwem.

* * *

Tym, którzy lubią narzekać na dzisiejsze czasy, na te wszystkie internety i sztuczne inteligencje, polecam rozdział *Radio i inne diabelstwa*. Radio w Polsce zaczęło nadawać prawie przed stu laty, w 1926 roku i *stało się przekleństwem starych, a marzeniem młodych*. Starsi mieszkańcy wsi narzekali, że jakby mało jeszcze było tych książek i gazet, młodym radio się marzy. Wiejskie kobiety widziały, że świat się zmienia, nadal słyszały od mężczyzn, że *warkocz długi, rozum krótki*, ale prętno numerowały fachowe pisma, słuchały ciekawych audycji, chłoneły wiedzę. W tamtym okresie w ogródkach pojawiły się nowe jarzyny, ogórki, sałata, rzodkiewka, a na-

wet pomidory, które z początku przyjmowano z obrzydzeniem.

Z niesmakiem reagujemy dziś na powiedzenia, przekonania i postawy degradujące kobietę wiejską. Kuciel-Frydryszak przypomina historię z mazowieckiej wsi o tym, że pewna rodzina nie zaakceptowała wiejskiej wybranki krewnego i dostał radę: *Nie zadawaj się z plewami, bo cię świnię zjedzą*. Córki z kolei słyszały: *Po co ci szkota? I tak paniom nie bendziesz*. Albo mało dowcipne: *Kto się zna na piśmie, ten się do piekła ciśnie*. Choć niektóre historie są dosyć ponure – książka odbierana jest jako świadectwo siły kobiet. Autorka przywraca im godność, oddaje im sprawiedliwość.

Moje bohaterki uginają się pod ciężarem obowiązków, nakazów i zakazów, ale starały się zawalczyć o coś dla siebie. Na przekór mężowi i całemu światu mówiły: „nie”. Kiedy słyszały: „tego nie możesz”, „to ci się nie uda”, „to nie dla ciebie”, wiele z nich pokornie przytakiwało, ale po cichu realizowały własny plan.

* * *

Na okładce książki tarcza słońca staje się aureolą wokół głowy starszej, umęczonej kobiety w wiejskiej chustce. Myślę o pracowitym życiu mojej wiejskiej babci, która przybyła do Międzyzwiecia koło Skoczowa z dalekiej Wiązownicy (powiat jarosławski), babci Anny, matki mojej mamy, zawsze zajętej pracą w polu i doglądaniem zwierząt, a przy tym bardzo czytanej. W czasie wakacji szperałam w jej bibliotece (pożyczała bowiem książki kobie-

tom w ramach Koła Gospodyń Wiejskich) i poza lekturami polskich klasyków znajdowałam tam również książki Stendhala, Tołstoja i Waltera Scotta.

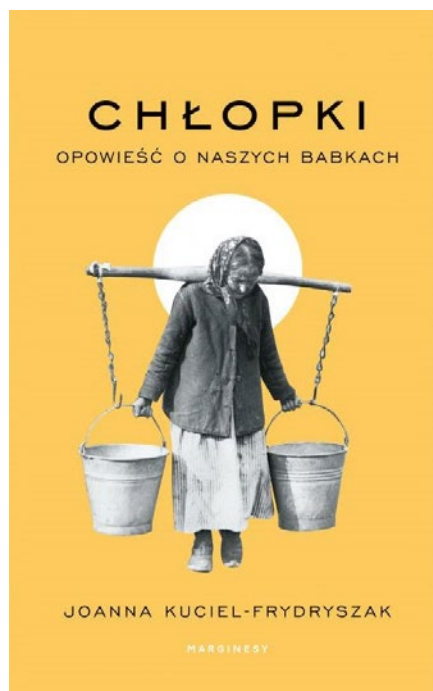
Sabina Jakubowska w recenzji książki Kuciel-Frydryszak napisała, że czytając o surowym życiu naszych babek i prababek, przyglądamy się sobie. Moja babcia Anna dzieliła się ze mną swoimi rodzinnymi historiami i to jej zawdzięczam nagrodę w konkursie literackim, którą zdobyłam jako uczennica klasy III A naszego gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Opowiadanie pt. *Kiedy babcia miała dziesięć lat* opublikowano w 1983 roku na łamach „Ogniwa”. Artykuł ten dotyczy *Chłopek*, ale ze względu na podtytuł pozwolę sobie przywołać kilka zdań z mojego dawnego opowiadania.

Było nas sześcioro rodzeństwa – wspomina babcia – jeden brat, a reszta same siostry. Mieszkaliśmy na wsi, w małej chatupince. W kuchni i jednym pokoju musiały się pomieścić cała nasza ośmioosobowa rodzina. Matka połowę życia spędzała przy piecu i garnkach. Jej zmęczone nogi dreptały tam i z powrotem po udeptanym klepisku, gotowała nie tylko dla wiecznie głodnych domowników, ale też dla bydła. Dokonywała nieraz cudów, przyrządzając jadło prawie z niczego, gdyż u nas nigdy się nie przelewało.

Moja szkoła? – babcia zastanawia się przez chwilę. – Tak, pamiętam tę wiejską chatupę, gdzie w jednej izbie mieściło się pięć klas. Chciwie chłonełam wiedzę, często urządzaliśmy przedstawienia teatralne, a ja zawsze miałam wiele pomysłów. Byłam dosyć zdolna, jak na ówczesne warunki czytana, bo moja matka obudziła we mnie miłość do książek. Nauczyciel namawiał rodziców, żeby mnie posłali do seminarium nauczycielskiego. Niestety, nauka była odpłatna, a w naszych warunkach nie było o czym marzyć.”

Losy naszych wiejskich babek i prababek były bardzo podobne, trudne, ale też inspirujące. Warto pamiętać o swoich korzeniach i kontynuować to, o czym kiedyś marzyły.

Cytaty pochodzą z książki *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, artykułu *Matki chłopki są w nas*, opublikowanego w *Tygodniku Powszechnym* oraz z wywiadów z autorką w *Książkach. Magazynie do czytania, Vogue Polska* i na stronie www.wroclaw.pl.





SEKCJA SPORTOWA PRZY MK PZKO ORŁOWA-LUTYNIA

TEKST: BEATA INDI TYRNA / ZDJĘCIA: ARCHIWUM KLUBU

Przy Miejsowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Orłowej-Lutyni działa Sekcja Sportowa – klub tenisa stołowego. O jego działalności opowiada Maria Trombik – jego kierowniczką.

Zacznijmy od kwestii formalnej: umawiając się na wywiad miałam informację o działającym przy MK PZKO Orłowa-Lutynia klubie ping-pongowym, a Pani mówi o Sekcji Sportowej...

Sekcja Sportowa działająca przy MK PZKO Orłowa-Lutynia skupia się przede wszystkim na tenisie stołowym. Stąd potocznie mówi się o niej jako o klubie ping-pongowym. Jednak oficjalnie nazywamy się Sekcja Sportowa przy MK PZKO Orłowa-Lutynia.



Maria Trombik

◀ Teraźniejszy skład ping-pongistów
I rząd: Marian Stec, Karol Nożka, Andrzej Bartulec, Danka Niedoba, Urszula Odstrčil
II rząd: Marysia Stec, Maryla Trombik, Paweł Niedoba

Od kiedy sekcja istnieje i jak długo jest Pani jej kierownikiem?

Tego roku mamy trzydziestolecie naszego istnienia. Oficjalnie rozpoczęliśmy działalność w roku 1994. To w kwestii formalnej, bo spotykaliśmy się by pograć w ping-ponga od zawsze, już w Klubie Młodych. A ja kierownikiem jestem od samego początku, odkąd sformalizowaliśmy naszą działalność.

Macie regularne spotkania, czy raczej powinno się rzec – treningi? Gdzie trenujecie?

Spotykamy się regularnie w każdy wtorek tu, w Domu PZKO. Mamy tutaj dwa stoły. Ale że jest nas tylko ośmioro, to gramy na jednym stole. Losujemy kto z kim gra i gramy duble. W tym czasie druga czwórka odpoczywa, po czym następuje zmiana.

Skoro nie klub tenisa stołowego, a Sekcja Sportowa to znaczy, że innymi dyscyplinami sportu również się zajmujecie?

Są między nami także zapaleni rowerzyści. Tak więc oprócz gry w ping-ponga wyjeżdżamy z zaprzyjaźnionymi koleżankami i kolegami z Cieszyna po polskiej stronie



Turniej Orłowa-Lutynia przeciw czeskiej grupie „OREL”

i okolicy na wycieczki rowerowe. Jesteśmy też zapraszani na tygodniowe wyjazdy rowerowe. W ostatnich latach razem byliśmy na Mazurach, dalej w Dolinie Baryczy – przepięknym zakątku Polski leżącym na pograniczu Wielkopolski i Dolnego Śląska, w roku minionym byliśmy zaproszeni na wyjazd do okolic Poznania – do Kórnik. My z kolei zorganizowaliśmy wyjazd na Morawy do Kunovic, gdzie naszym przyjaciółom bardzo się podobało.

A u siebie oprócz tych regularnych spotkań przy stole do tenisa stołowego coś jeszcze, jako Sekcja Sportowa, robicie?

Bierzemy czynny udział w różnych turniejach obwodowych organizowanych przez nasze Koło czy koła w Skrzeczoni, lub

w Orłowej-Porębie. Oprócz obwodowych turniejów utrzymujemy kontakty z czeską grupą tenisa stołowego OREL. Długie lata były organizowane turnieje międzynarodowe. Byliśmy zapraszani na Barbórkę do Jastrzębia-Zdroju, a my z kolei zapraszaliśmy do nas z okazji Dni Miasta Orłowa. W ostatnich latach jednak kontakty się urwały, bo polska grupa ping-pongowa w naszej kategorii już nie istnieje.

Czasem wychodzimy też grać w bowling. Natomiast z pozasportowych imprez to w ciągu roku organizujemy śledzika na zakończenie okresu balowego czy smażenie jajecznicy w plenerze. A na zakończenie roku spotykamy się na tradycyjnej Wigilijce zwanej Trusiokówką. Przy świecach, w miłym pezetkaowskim gronie, spędzamy przyjemny wieczór.



Wspólnie z rowerzystami z Polski na Morawach r. 2022



OSTATNI LIST Z OBOZU

WSPOMNIENIA I PAMIĄTKI RODZINNE

BOLESŁAWA SUCHANKA

TEKST: SYLWIA GRUDZIĘŃ, ZDJĘCIA: SYLWIA GRUDZIĘŃ, MATERIAŁ ARCHIWALNY: BOLESŁAW SUCHANEK

Wierni czytelnicy rubryki *Pamiętka rodzinna* wiedzą, że tematy do kolejnych artykułów podsuwają nam oni sami, dzwoniąc lub wysyłając do nas e-maile. Tym razem jednak naszej redakcji udało się natrafić na niezwykle cenne pamiątki w Domu PZKO w Skrzeczoniu. Ponad miesiąc temu odbyło się tam spotkanie wspomnieniowe z okazji 55. rocznicy odsłonięcia pomnika wzniesionego na cześć 104 Polaków, którzy zginęli w Polenlagrze nr 32 w Boguminie. Wziął w nim udział między innymi Bolesław Suchanek, który jako jedenastolatek trafił wraz z matką i braćmi do bogumińskiego obozu pracy.

Polenlager nr 32 w Boguminie (niem. Odeberg) był jednym z dwudziestu sześciu niemieckich obozów koncentracyjnych i obozów pracy przymusowej dla Polaków, które zostały utworzone na terenie Górnego Śląska w czasie II wojny światowej. Na gospodarstwach wysiedlonych Polaków osadzano z kolei ludność pochodzenia

niemieckiego z Besarabii, Bukowiny i Litwy w ramach akcji *Heim ins Reich* (pol. Powrót do domu w Rzeszy). W obozach pracy przymusowej panowały ciężkie warunki bytowe, żywienia było głodowe, dorosłych mężczyzn kierowano do przymusowej pracy, natomiast kobiety i dzieci pracowały w gospodarstwach rolnych.

W Boguminie przebywały m.in. rodziny z okolic Żywca, Wadowic, Wisty, a także Bogumina. W 1943 roku trafił tam wraz ze swoją matką i dwoma braćmi Bolesław Suchanek – gość kwietniowego spotkania w Skrzeczoniu. Ponad siedemdziesięcioletni były więzień bogumińskiego Polenlagru podzielił się pod-



- ▲ Strona adresowa jednego z listów wysłanych przez Jana Suchankę z Polenlagru w Boguminie do swojej żony Zofii.
- ◀ Bolesław Suchanek prezentuje pamiątnik swojego ojca.

czas spotkania swoimi wspomnieniami z tamtego okresu.

JEDZENIE DLA WIĘŹNIÓW PRZERZUCANO PRZEZ PŁÓT

– Ojca aresztowali w styczniu 1943 roku i przewieźli do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a nas – mamę, starszego brata, młodszego brata i mnie – wywieziono już na wiosnę tego samego roku pociągiem do Bogumina. Z naszej wioski – Łodygowic – zostało wywiezionych więcej rodzin. Z tymi osobami jeszcze po wojnie utrzymywałem stosunki koleżeńskie, ale ponieważ zmieniłem miejsce zamieszkania, zerwałem je. Były to między innymi dwie dziewczyny, z którymi od pierwszego dnia obozu w Boguminie do ostatniego dnia wojny byliśmy razem. Do Bogumina przyjechaliśmy na dworzec towarowy i stamtąd wszyscy na nogach poszliśmy do obozu. W pierwszych dniach nie brali nikogo do pracy. Później dorośli więźniowie pracowali w obozie przy plewieniu buraków i w fabryce konserw rybnych „Kala”. W niedzielę z Bielska przyjeżdżała do nas rodzina. Zdarzało się, że ktoś przerzucał nam jedzenie przez płót – wspominał Bolesław Suchanek, zaznaczając, że niestety ze względu na wiek niewiele pamięta z tamtego okresu.

Pan Bolesław pamiętał jednak dobrze jedną sytuację. – Z Łodygowic przyjechał z nami też kaleka, któremu Niemcy potłamał laskę. Dwaj więźniowie z obozu zrobili mu

laskę z drzewka rosnącego koło portierni. Ten człowiek w końcu z innymi kalekami i starszankami został wywieziony do Piotrowic. Już wtedy wiadomo było, że zostaną oni wywiezieni do obozu koncentracyjnego.

Końcem 1943 roku cała czwórka – matka pana Bolesława i jego bracia Janek i Otek – zostali wywiezieni do obozu przejściowego w Starogardzie Szczecińskim. Stamtąd po kilku dniach przewieziono ich do Kołobrzegu. – Tam na placu nas podzielili. Zdarzało się, że dzielono rodziny. My mieliśmy szczęście i nie zostaliśmy rozdzieleni. Ulokowano nas w miejscowości Putzernin (przyp. red. – Poczernino, województwo zachodniopomorskie), w majątku – w po-

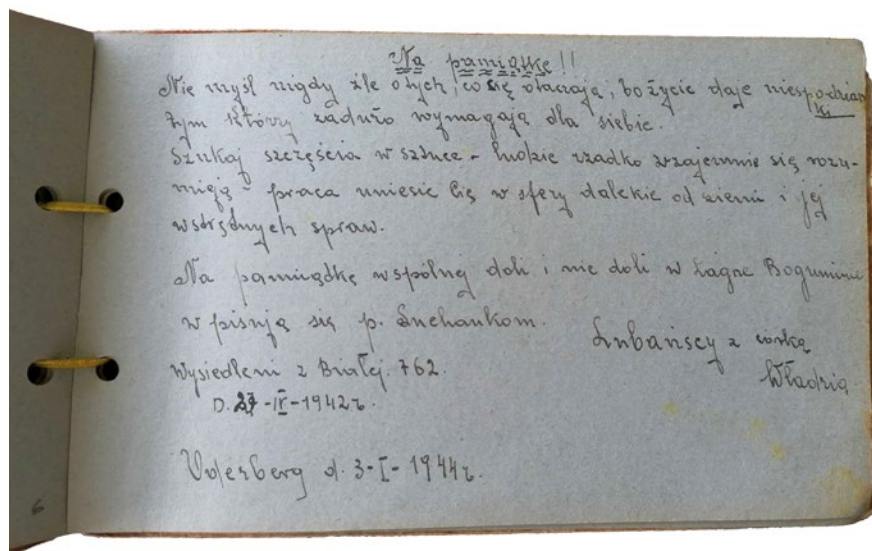
łożnym domu dla robotników rolnych. Na parterze były trzy duże izby, na piętrze dwie – wspominał pan Bolesław.

W Putzerninie udało się rodzinie przetrwać do końca wojny, skąd wrócili następnie na południe Polski – do Bielska-Białej. Zofia Suchek – matka pana Bolesława – liczyła na to, że tam spotka się po zakończeniu wojny ze swoim mężem – tak jak się wcześniej umówili.

Z POLENLAGRU NR 32 W BOGUMINIE DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO STUTTHOF

Los jednak zrządził inaczej. Jan Suchanek został aresztowany przez władze okupacyjne za działalność w Okręgu Śląskim Armii Krajowej w styczniu 1943 roku – to był też prawdopodobnie powód wywiezienia jego rodziny do obozu w Boguminie. Już w lutym tego samego roku trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Stamtąd został przeniesiony do Polenlagru nr 32 w Boguminie – było to jednak już wtedy, gdy jego rodzina została wywieziona w okolice Kołobrzegu.

Jak to się stało, że Janowi Suchankowi udało się wydostać z obozu Auschwitz? Według córki pana Bolesława Suchanka, Katarzyny Klimoszek, to dzięki babci i jej bliskiej znajomości z właścicielką majątku w Putzerninie, udało się wydostać dziadka z obozu śmierci. Dzięki niej udało się też prawdopodobnie zorganizować przeniesienie Jana Suchankę do majątku w Putzerninie, by mógł być razem ze swoją rodziną. Szczęście nie trwało jednak długo,



Jedna ze stron z pamiątnika z obozu pracy w Boguminie z wpisem rodziny Lubańskich z Białej.

Oderberg 15.11.1943.

Moji Kochanci żono i dzieci:

Zaryłem wam jaknajbardziej miłe podziwianie.
 Oraz przysłuję wam piśmo z kartki które otrzymałem
 od was. Z jednej strony miśnyło mi bardzo piśmo.
 Dusza przegrana zabawie się wzmianką wiersz że furman
 musi mieć ciężką rękę rannę do picania. Ale z drugiej
 strony nieporozumieło miż że ty kochana dosiu jesteś
 prześladowana chorobą teraz znów niebezpiecznie masz
 z tym palcem. Ja się odzwilżam że ty ciężko ubranie
 zastanowił u Walke Kłórumu napisatem aby natychmiast
 ci przysłał poście tylko niewiele do prawdopodobnie
 Bosta nieprzejmuję do 6 grudnia paczkę gdyby tak było
 poleciłem aby za rozważeniem to zrobił. Kuty są
 przy mnie i troje pleciona kamizelka no i parawki.
 Ja jeszcze czekam na podanie trojzego Prasadawy
 i nieprzyjętem swojego do Katoric bo to nawet niepotrzebne
 i lepiej. Jak się dowiedziałem w arbeitsamcie nie dostał
 jak z tem zrobić gdzieś podatku a jak przysłałem dla tego
 piśmo polecił mi tam przestać a to niepotrzebne i długobym
 smoru musiał czekać na ratowanie. Dowiedziałem się że
 skoro przyjdzie zapotrzebowanie od trojzego Tama to zaraz z tem
 będą w arbeitsamcie robić. Porattem polecau ci ponide Druca (Tosaleu)
 żeby wprost wysłał direkt do Oderbergu arbeitsamtu pare słow
 od siebie napisat że mi potrzebują to już wystarczy i za parę

LISTY Z OBOZÓW

Listy z obozów koncentracyjnych pisane były w języku niemieckim – ojciec pana Bolestawa znał niemiecki bardzo dobrze, ponieważ wyjeżdżał przed wojną na saksy. Natomiast te wysłane z Bogumina mógł pisać po polsku. W korespondencji do żony informuje o tym, że pracuje w wytwórni ryb. W jednym z listów pisze, że brakuje mu jedzenia, co jest dla niego dotkliwie, ponieważ ciężko pracuje. Z kolei w liście z okolic świąt Bożego Narodzenia wspomina, że otrzymał paczkę od rodziny, w której był chleb, ciasto i kiełbasa. Z korespondencji Suchanków wynika, że los więźniów w dużej mierze był zależny od wsparcia rodziny, z którą można było się widywać przez płot obozu. Podczas takich spotkań rodzina mogła nie tylko przekazać więźniom żywność, bieliznę, ubrania, ale też wesprzeć ich psychicznie.


W liście z 5 grudnia 1943 roku dziękuje żonie za paczkę, którą od niej otrzymał – można się domyślić, że była to paczka z żywnością. Równocześnie prosi żonę, żeby następnej nie posyłała, ale dała ją dzieciom. Listy są pełne troski o zdrowie żony i dzieci. W jednym z nich pyta, czy nie

List do żony i dzieci z 15 listopada 1943 roku.

ponieważ już pod koniec lipca 1944 roku został wywieziony do obozu koncentracyjnego KL Stutthof koło Gdańska.

Podczas spotkania zorganizowanego w skrzeczońskim Domu PZKO pan Bolestaw pokazał niezwykle cenną pamiątkę rodzinną – pamiętnik swojego ojca Jana Suchanka z wpisami zaprzyjaźnionych rodzin więzionych w Polenlagrze w Boguminie. Część osób wpisała się na pamiątkę wspólnej niedoli, część z nich na pamiątkę „miłych i pięknych chwil spędzonych w lagrze w Boguminie”. Najwidoczniej czarny humor był jedną ze strategii przetrwania więźniów.

Po zakończeniu oficjalnej części spotkania w Skrzeczoni można było również zobaczyć listy wysłane przez Jana Suchanka do swojej rodziny z obozów koncentracyjnych w Auschwitz i Stutthof oraz unikatowe listy z bogumińskiego obozu pracy dla Polaków – unikatowe z tego względu, że dokumentów tego typu związanych z istnieniem bogumińskiego obozu pracy zachowało się niewiele.

dużo będzie mógł być u siebie. i będą mogli nawet zabrać
 troje zimne ubranie cile Walke niewiele. Dlaczego tak
 trudno zrealizować się z ubranie gdy już zimno na karbu?
 Co do mnie jestem zdrowy tylko na nowo i ostatnie mości
 wśród festiwu jeszcze od pracy z Ministerium w pracy z rękami do nog
 kros przenoszoną celem zapobieżenia robienia się nowym.
 Sam to rządzą aby do siebie podać być zdrowym,
 Karoraj to jest straszenie 14-go niebyło nikogo u mnie
 z resztą bardzo była sta pogodą tylko u Kłórumu Kito's był
 z odwiedzinami. F. Melanowski z ręką pojedzał do brata
 do G- Government i już pisat. Konnie z. Abbotowicza
 z E. Kłóruma pojedzał. Czy piśmo do brata Janka?
 Czy niedawno się żeby on był, podanie o siebie miał
 Zarne by się tam dostał fakty być i wkaridym parę mogłoby.
 Tama Kłóruma i ja pojedział. Do dać byłoby fun ratowanie
 Jeszcze już czytatem wam moji Kochanci jaknajbardziej
 miśny podziwianie. Oraz podziwianie dla T. Karasikowej
 i tych drugich tam. D. byłoby odpis prozę.
 Kochający was
 Tetus


powiększa się opuchlizna pod kolanem u Bolka i prosi, żeby miała oko na Otusia, aby ten nie wsadził nogi w koło lub żeby go koń nie kopnął. A do żony zwraca się słowami: „A Ty, Zosiu, śpij lepiej, bo temu biedniejszy”. Na koniec pyta, czy Janek ma zimowe ubrania do roboty i czy wszyscy mają buty.

Ostatni list do rodziny Jan Suchanek wysłał 20 stycznia 1945 roku z Pölitz koło Szczecina. List napisany jest w języku niemieckim (tłum. na polski – Piotr Kenig):

Kochana Żono i Dzieci!

Dziękuję serdecznie za list, który wczoraj otrzymałem. Bardzo się cieszę, że jesteście zdrowi. Kochana Zofio, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak mnie ta wiadomość [od ciebie] uradowała i że [nieczytelne] wysłałaś paczkę z tytoniem, na którą wciąż jeszcze czekam. Dzięki Bogu jestem zdrowy i życzę Tobie tego samego. Bądź silna! Następnym razem napisz na nowy adres, pod którym aktualnie przebywam. Paczki żywnościowe są mile widziane, jednak nie wiem, czy masz możliwość, żeby je wysłać. Kochana Zofio, cierpij na bóle żołądka... Pisz częściej i od razu. Czy Jan napisał?

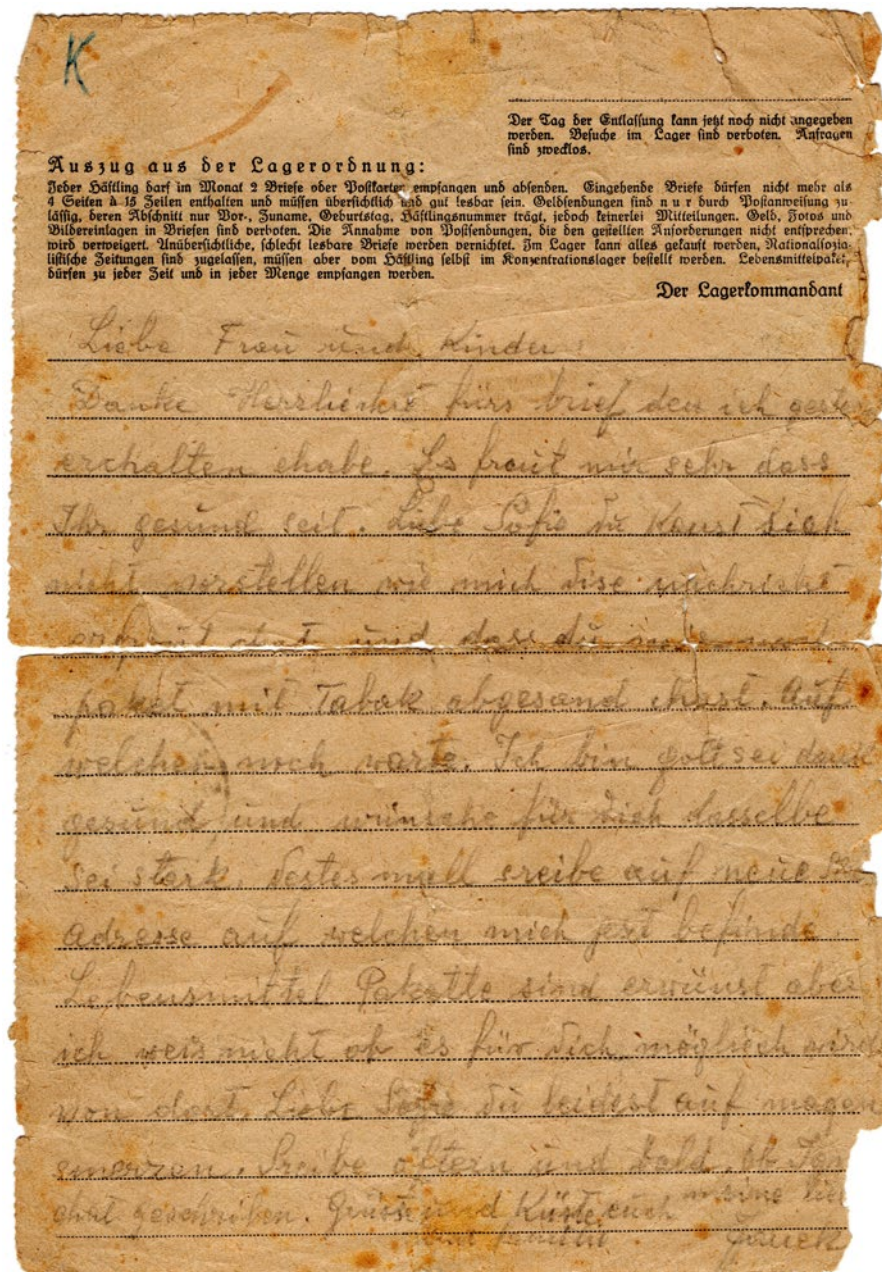
Pozdrawiam i całuję was Moi Kochani oraz rodzinę

Janek

SZTUTOWO I POLICE DZIELI PONAD CZTERYSTA KILOMETRÓW

Po tym liście słuch po ojcu pana Bolestawa zaginęła. Matka pana Bolestawa próbowała jeszcze bezskutecznie dowiedzieć, co się stało z mężem, pisząc do różnych międzynarodowych organizacji, między innymi do Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Udało się jedynie ustalić, że ostatnim miejscem pobytu męża był leżący niedaleko Gdańska obóz koncentracyjny KL Stutthof. Jak to się jednak stało, że ostatni list ze stycznia 1945 roku Jan Suchanek wysłał z Pölitz (dziś Police leżące pod Szczecinem)? Przecież Sztutowo (niem. Stutthof) i Police (niem. Pölitz) dzieli ponad czterysta kilometrów.

Jak możemy dowiedzieć się z artykułu Pawła Knapa zatytułowanego *Policka filia Konzentrationslager Stutthof* opublikowanego na stronach szczecińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, w połowie 1944 roku w Policach została utworzona



Ostatni list wysłany przez Jana Suchanka do rodziny z polickiej filii obozu koncentracyjnego KL Stutthof.

filia obozu koncentracyjnego Stutthof. Liczba więzionych w Policach wahała się od 800 w czerwcu, do 2,8 tys. w sierpniu 1944 roku. W obozie polickim przebywali Polacy, Rosjanie, Litwini, Łotysze, Niemcy, Francuzi, Jugosłowianie i Grecy, pod koniec jego istnienia prawdopodobnie również Żydzi. Więźniowie pracowali w fabryce benzyny syntetycznej *Hydrierwerke AG Pölitz*.

Decyzja o likwidacji i ewakuacji filii obozu koncentracyjnego w Policach zapadła w kwietniu 1945 roku. Dnia 9 marca około 800 więźniów skierowano do Bergen-Belsen, gdzie część z nich doczekała wyzwolenia. 17 marca rozstrzelano ponad 300 chorych. Dokładnie miesiąc później pociągiem

do Barth wywieziono – według różnych danych – od 200 do 400 więźniów, których po przybyciu na miejsce zatrudniono przy pracach ziemnych na lotnisku, a następnie ewakuowano pieszo w kierunku Rostocku. 23 kwietnia pozostałych w obozie ewakuowano pieszo w kierunku Tanowa, a później Ueckermünde. Na miejscu pozostała niewielka grupa osób, która zając się miała zniszczeniem tego, co pozostało w obozie. 1 maja większość z ostatniej grupy ewakuowanych doczekała się wyzwolenia pod Warnemünde.

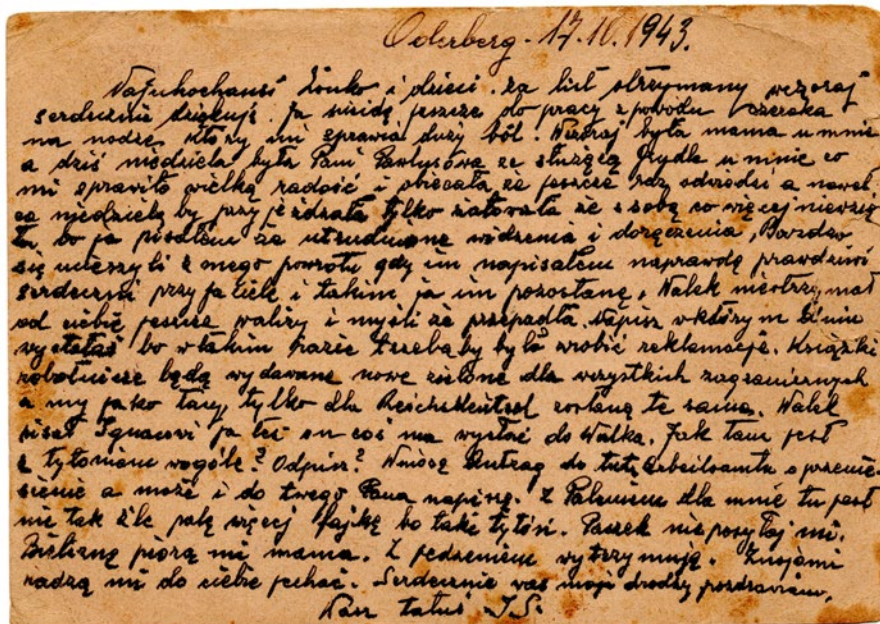
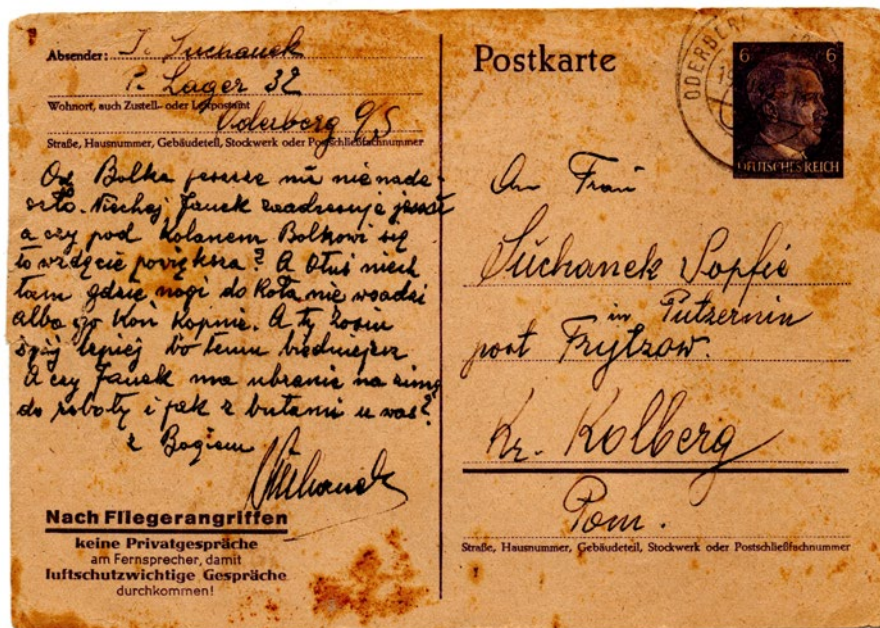
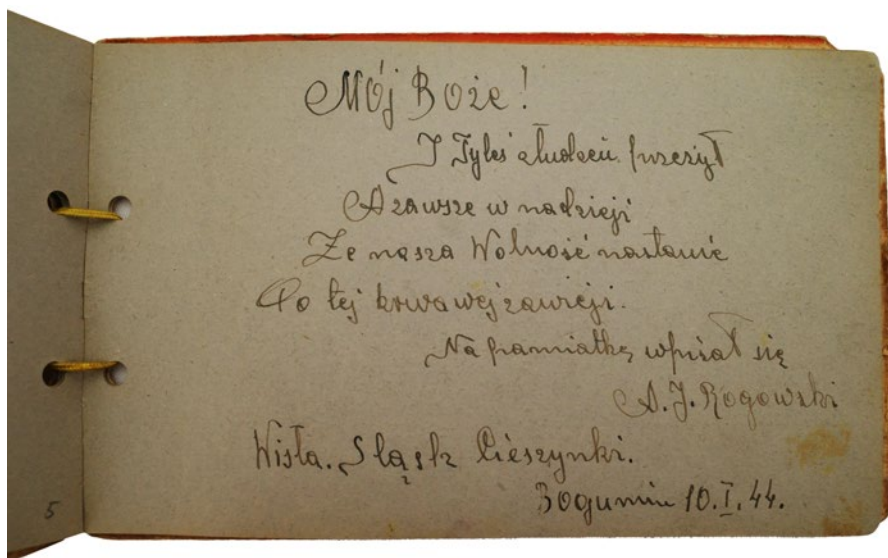
Ojciec Bolestawa Suchanka trafił do obozu Stutthof 26 lipca 1944 roku – bardzo możliwe, że od razu został wywieziony do nowo utworzonej filii w Policach, skąd nigdy nie

wrócić i skąd w styczniu 1945 roku wystął do swojej rodziny ostatni list. Jednak tego prawdopodobnie już nigdy się nie dowiemy.

KAŻDY ŚLAD NA WAGĘ ZŁOTA

Według brytyjskiego historyka Paula Johnsona w latach 1933–1945 istniały 1634 obozy koncentracyjne oraz ich filie i ponad 900 obozów pracy. Sześć z obozów koncentracyjnych zyskało miano obozu zagłady. Są to obozy KL Auschwitz i KL Kulmhof w Chełmnie na polskich terytoriach przyłączonych do Rzeszy oraz obozy w Treblince, Sobiborze, Majdanku i Bełżcu w Generalnym Gubernatorstwie. Niektórzy historycy kwestionują jednak ten podział, podkreślając, że wszystkie te obozy były w istocie obozami zagłady, ponieważ więźniowie umierali tam z powodu wygłodzenia, obciążenia nadmierną pracą, czy w wyniku egzekucji. Jednak tych sześć obozów – zwanych obozami zagłady – zostało założonych przede wszystkim w celu przeprowadzenia masowego mordu.

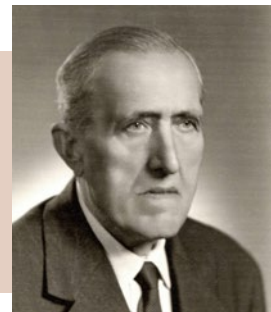
W niektórych z tych miejsc utworzono po drugiej wojnie światowej miejsca pamięci i muzea. Pamiętajmy jednak, że wiele z nich dziś już nie znajdziemy na mapie, a ślad po nich upamiętnia co najwyżej głaz z inskrypcją – tak jest na przykład w przypadku Polenlagru nr 32 w Nowym Bogumnie. Również po fabryce benzyny syntetycznej *Hydrierwerke AG Pölitz*, w której pracowali więźniowie filii obozu Stutthof, zostały już jedynie ruiny w lesie. Każdy więc ślad dokumentujący istnienie tych miejsc jest na wagę złota.



PAMIĘTNIK NAUCZYCIELA CZĘŚĆ VIII Z MICHAŁKOWIC. WSPOMNIENIA OD NAJMŁODSZYCH LAT

TEKST: ALOJZY KOŁORZ; PRZYGOTOWANIE DO DRUKU I WSTĘPNA REDAKCJA: SYLWIA GRUDZIEN.
KARTKI POCZTOWE ZE ZBIORÓW LESZKA CIMAŁY I Z INTERNETU

Zapraszamy do lektury kolejnej części wspomnień Alojzego Kołorza – nauczyciela urodzonego w 1891 roku, który swoją drogę zawodową rozpoczął w polskiej szkole w Michałkowicach koło Ostrawy. Spisane w 1962 roku wspomnienia obejmują okres od wczesnego dzieciństwa do końca drugiej wojny światowej. Maszynopis przekazał naszej redakcji Tadeusz Nowak.



W tej naszej biedzie przyszedł nam z pomocą Szwedzki Czerwony Krzyż. Przez pewien czas dostawaliśmy obiady gratisowe, więc przynajmniej raz dziennie mieliśmy zabezpieczone żywienie. Jednak bieda wśród nas, jeńców – oficerów, była coraz większa, więc postanowiliśmy grupkami wracać do kraju. Pierwsza nasza myśl była, aby motorówką przepłynąć Morze Kaspijskie i przedostać się do Persji. Ponieważ nie miałem pieniędzy, więc pożyczyłem sobie pewną kwotę od żołnierzy austriackich, którzy mieli nieraz większą gotówkę przy sobie, z zobowiązaniem oddania pożyczki w kraju, co też rzeczywiście uskuteczniłem. Zapłaciłem właścicielowi motorówki za przejazd i na umówiony czas miał on się zjawić w oznaczonym miejscu. Niestety właściciel motorówki się nie zjawił, a nasze pieniądze przepadły.

Teraz grupa nasza, składająca się z sześciu kolegów, postanowiła wybrać się w podróż przez Rosję w kierunku Kijowa i Lwowa. Władze w Astrachaniu wystawiły nam dokumenty jako uchodźcom z Warszawy z roku 1915, którzy obecnie wracają do domu do kraju. Kosztowało nas to trochę pieniędzy, ale każdy z nas miał dowód osobisty z fotografią przy sobie, więc była podróż pewniejsza. W międzyczasie przyszedł zakaz opuszczania miasta Astrachania bez specjalnego zezwolenia władz wojskowych, a kasjerom kolejowym nie wolno było sprzedawać biletów bez okazania zezwolenia. My zezwolenia na zakup bile-

tów kolejowych nie otrzymaliśmy. Ale od czego spryt głodnych ludzi? Wśród naszej grupy był jeden przystojny kolega, który miał wielkie powodzenie u kobiet. Zawarł on znajomość z kasjerką kolejową i po kilku dniach kasjerka sprzedała mu dla nas, sześciu oficerów, bilety kolejowe z Astrachania do Saratowa.

„KONTROLA PRZESZŁA PRZEZ WAGON, A NAS NIE ZAUWAŻYŁA”

Teraz ustaliliśmy termin wyjazdu, a punktem zbornym był westybul na dworcu, gdyż przez miasto każdy z nas szedł na dworzec kolejowy inną drogą. Przy przejściu z dworca na peron zauważyliśmy posterunki czerwonogwardzistów przeprowadzających kontrolę dowodów osobistych i zezwoleń na wyjazd z miasta. Błąd strach padł na nas, wstrzymaliśmy się trochę z wejściem na peron. Za nami stał wielki tłum ludzi chcących wejść na peron. W pewnej chwili ludzie z tyłu popchnęli wszystkich wpród, posterunki nie wytrzymały naporu i wszyscy weszli na peron, wchodząc do pociągu drzwiami i oknami. Nam udało się wejść oknem do wagonu. Wagony rosyjskie są bardzo wygodne i praktycznie zbudowane. Ile jest miejsc siedzących w wagonie, to prawie tyle jest miejsc leżących na półkach, które są dosyć szerokie i można na nich wygodnie leżeć. Półki są umieszczone w dwóch rzędach jedno nad drugim. Wyleźliśmy zaraz na te wyższe półki i tam położyliśmy się,

ale pasażerowie poczęli kłaść pakunki obok nas, a nawet wprost na nas.

Wtem słyszemy głosy, że przechodzi przez wagony kontrola wojskowa badająca dowody osobiste i zezwolenia na wyjazd z miasta. Teraz leżeliśmy cichutko, a nawet zgarnęliśmy obcy bagaż na siebie. Kontrola przeszła przez wagon, a nas nie zauważyła. Teraz wygramoliliśmy się spod tobołów i usiedliśmy na ławce. Pociąg ruszył w drogę. Jechałem tą samą koleją, którą przyjechałem w roku 1916. Te same stopy, te same wioski. Na stacjach kolejowych miejscowa ludność sprzedawała chleb, kietbasę, gotowane jajka itd. Kupiłem sobie trzy bochenki chleba i dwa kilogramy suchej kietbasy. Cukier i herbatę miałem z sobą, byłem więc na dalszą drogę zabezpieczony.

Dojechaliśmy do lewego brzegu Wołgi. Po drugiej stronie Wołgi leżało miasto Saratow. Przy brzegu rzeki był statek przewożący pasażerów na drugą stronę rzeki. Również i nasza grupka oficerów wsiadła na statek. Przy wysiadaniu ze statku po drugiej stronie Wołgi była znów kontrola dokumentów. Wprawdzie mieliśmy dokumenty z legalnymi pieczętkami nowego reżymu, ale pouczone nas, żeby w miarę możliwości dokumentów nie dawać innym do ręki, bo kontrolujący często zabierali dokumenty pod pretekstem, że są fałszywe, i było trzeba się optać, aby uzyskać swój dowód osobisty z powrotem. Myśmy nie mieli tyle pieniędzy, abyśmy mogli sobie na coś podobnego pozwolić.

ZIMNY NOCLEG NAD WOŁGĄ

Przy wysiadaniu ze statku kontrolujący zażądał ode mnie *bumagi*, to znaczy papierów. Przystanąłem i szukałem *bumagi*, a w międzyczasie inni wychodzili spokojnie ze statku. Dokument miałem w kieszeni i nieraz go namacałem w palcach, ale ja stale zwlekałem, chcąc znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Kontrolujący w międzyczasie zatrzymał innego pasażera. Ten oddał mu dokument. W czasie przeglądania *bumagi* ja niepostrzeżenie oddałem się, a koledzy, którzy z daleka na mnie czekali ucieszyli się, że jesteśmy znów wszyscy razem.

Na drugim brzegu Wołgi stał pociąg osobowy, do którego wsiedliśmy. Nagle pasażerowie mówią między sobą, że pociąg przechodzi kontrola wojskowa. Chcieliśmy uniknąć kontroli, wysiedliśmy z wagonów i ukryliśmy się w zaroślach znajdujących się w pobliżu brzegu Wołgi. Pociąg w międzyczasie odjechał na główny dworzec do Saratowa, a myśmy zostali o zmierzchu nad brzegiem. Nie odważyliśmy się o tej porze iść do miasta, więc przenocowaliśmy nad Wołgą, gdzie drżeliśmy z zimna. Rano ugotowaliśmy sobie trochę herbaty i zagrzailiśmy się nieco.

Ponieważ nie było żadnego pociągu odchodzącego na dworzec główny do Saratowa, więc udaliśmy się tam piechotą. Droga do miasta wynosiła jakieś pięć kilometrów. Miasto było piękne, nowoczesnie zbudowane, ulice szerokie, więc przyjemnie było iść jego ulicami. Doszliśmy do dworca. Przed wejściem na dworzec zauważyliśmy znów posterunki wojskowe kontrolujące dokumenty. Wobec tego, usiedliśmy na ławce niedaleko dworca i obserwowaliśmy cały ruch uliczny. Medytowaliśmy, jakby tu wejść na dworzec bez poddania się kontroli. Naraz zobaczyliśmy grupę ludzi prowadzonych pod eskortą na dworzec. Wstaliśmy i poszliśmy równoległe z aresztowanymi w kierunku dworca. Już byliśmy jakieś dwadzieścia metrów przed wejściem na dworzec, dołączyliśmy do tych aresztowanych i spokojnie weszliśmy do westybulu, gdyż posterunki wojskowe uważały, że należymy do grupy aresztowanych.

NIEBEZPIECZNA DROGA Z CHARKOWA DO KURSKA

Teraz mieliśmy kłopot z kupnem biletów. Kasjer mógł sprzedać bilet na bardzo krótką odległość, a myśmy chcieli pojechać co

najmniej do Charkowa. Nawinał się nam na nasze nieszczęście urzędnik kolejowy, któremu daliśmy pieniądze, miał nam zakupić bilety. Niestety urzędnik pieniądze zabrał i więcej się nie pokazał. Wobec tego kupiliśmy bilety na krótką odległość, a po przejechaniu trasy jechaliśmy bez biletu płacąc w pociągu za bilet i karę za jazdę bez biletu. W końcu doszliśmy do porozumienia z konduktorem i za pewnym wynagrodzeniem dojechaliśmy bez biletu do Charkowa.

Już w pociągu dowiedzieliśmy się, że na Ukrainie i w Kijowie toczą się zacięte walki. Nie miałyby żadnego sensu jechać na teren walki, zmieniliśmy więc kierunek jazdy na Kursk i Smoleńsk. Jazda z Charkowa do Kurska była niebezpieczna, bo i na tej linii odbywały się walki. Dwa razy był nasz pociąg zaatakowany przez czerwonogwardystów, niektóre osoby cywilne były ranne, inne znów aresztowane. Musieliśmy się poddać kontroli dowodów osobistych, które uznano za dobre, więc wypuszczono nas i mogliśmy kontynuować naszą podróż. W Kursku czekaliśmy na dworcu jeden dzień, zanim podstawiono pociąg do Smoleńska. Po długich kłopotach udało nam się kupić bilety.

W SMOLEŃSKU

Po przyjeździe do Smoleńska dowiedzieliśmy się, że linia demarkacyjna, właściwie frontowa, przechodzi koło miasta Orszy, gdzie jest urzędowo ustanowione miejsce przekroczenia granicy. Cała nasza grupa oficerów udała się do miasta Smoleńska celem zorientowania się w sytuacji i zasięgnięcia bliższych informacji. Po drodze podchodzi do nas mężczyzna w sile wieku i rozpoczyna z nami rozmowę po niemiecku. Tylko jeden z kolegów z nim rozmawiał, my szliśmy powoli naprzód, obserwując co z tego wszystkiego wyniknie, czy nasz kolego nie będzie aresztowany, i jako mu potem przyjąć z pomocą.

Po chwili kolega dał nam znak, żeby do niego podejść, a nieznanym mężczyzną okazał się oficer wywiadu niemieckiego, który ułatwił wszystkim jeńcom niemieckim i austriackim przedostanie się przez front na teren okupowany przez armię niemiecką. Wywiad miał w mieście całe biuro, które wystawiało przechodzącym przez granicę dokumenty z oryginalnymi pieczętkami i podpisani władzy bolszewickiej. Pobiegliśmy do miasta i daliśmy sobie

sporządzić fotografie do dokumentów. Fotografie były za dwie godziny gotowe, a za drugie dwie godziny mieliśmy wystawione papiery z zezwoleniem przekroczenia granicy w mieście Orszy.

Ja zachorowałem w Smoleńsku na gripę, wtenczas oficjalnie nazwaną *hiszpanką*. Dostałem wysokiej gorączki, jednak podróży nie przerwałem. Na stację do Orszy przyjechaliśmy koło północy, gdzie czekaliśmy na dworcu aż do rana. W poczekalni położyłem się na ławkę. Niestety przyszła straż kolejowa i zakazała mi leżeć na ławce, chociaż próżnych ławek było wiele. Koledzy, chcąc mi przyjść z pomocą, usiedli na jednej ławce, a ja położyłem się pod tą ławką na podłodze. Rano z innymi kolegami udaliśmy się w kierunku granicznego punktu przejściowego. Po stronie bolszewickiej były posterunki wojskowe kontrolujące dokumenty i pakunki, a jakich pięćdziesiąt kroków dalej stała niemiecka warta wojskowa, która przyjmowała przybywających.

Po stronie rosyjskiej koledzy wypchnęli mnie pierwszego do kontroli. W worku oprócz drobiazgów miałem jeszcze dwa bochenki bielutkiego chleba i może jakieś dwa kilogramy półsuchej kiełbasy. Kontrolujący chciał ode mnie odkupić chleb i kiełbasę. Nie namyślając się, dałem mu chleb i kiełbasę za darmo. Moja kontrola, jako też i moich kolegów, przeszła łagodnie i wkrótce byliśmy po niemieckiej stronie. Wystarczyło nam powiedzieć, że jesteśmy austriackimi oficerami i zaraz zostaliśmy skierowani do osobnego baraku.

DRUGI KOMPANÓW PODRÓŻY SIĘ ROZESZŁY

Przejście przez granicę było dla mnie wielkim przeżyciem. To spowodowało, że czułem się jak gdyby całkiem zdrowy, to też nie zgłosiłem się jako chory. Jednak po ochłonięciu z pierwszych wrażeń, i ta wiadomość, że obecnie nic nie zagraża mojemu życiu, przywróciła normalny stan choroby. Gorączka wystąpiła w całej pełni. Teraz zgłosiłem się do lekarza, który mnie zbadał i odesłał pociągiem sanitarnym do szpitala wojskowego w Mińsku. Pożegnałem się z kolegami, którzy przyrzekli utrzymywać ze mną dalszy kontakt. Jednak od tego czasu z żadnymi z nich się nie widziałem, ani nie zdołałem nawiązać z nimi korespondencji.



WARSZAWA. Ul. Kredytowa. — Rue Kredytowa.

Szpital wojskowy w Mińsku mieścił się w starym zamku otoczonym dużym parkiem. Chorych w szpitalu było mało. Na sali leżałem sam i dobrze mi tam było. Lekarz stwierdził *hiszpankę*, czyli grypę. Już nie pamiętam sposobu leczenia tej choroby, ale pielęgniarka kilkakrotnie nasmarowała mi całe plecy i piersi jodyną, aż skóra zaczęła się łuszczyć i schodzić. Takie smarowanie jodyną mogło doprowadzić do kompletnego zniszczenia skóry i doprowadzić do komplikacji. Jedno mnie ratowało. Kiedy byliśmy jeszcze w Astrachaniu, to całymi dniami wygrzewaliśmy się i opalali nad brzegiem Wołgi, skórę miałem więc prawie że brązową, a więc uodpornioną na działanie jodyny. Po sześciu tygodniach zwolniono mnie ze szpitala i przekazano do austriackiego punktu zbornego w Włodzimierzu Wołyńskim.

PO RAZ PIERWSZY W WARSZAWIE

W Włodzimierzu Wołyńskim zgłosiłem się u komendanta obozu, gdzie przechodziłem trzytygodniową kwarantannę. Po wypełnieniu arkusza rejestracyjnego z podaniem wszelkich moich danych personalnych, komendant przesał telegram do 100 pułku piechoty w Piotrkowie o stwierdzenie mojej tożsamości. Po przyjęciu

pozytywnej odpowiedzi z Piotrkowa wydano mi z magazynu wojskowego kompletne żołnierskie umundurowanie i wojskową bieliznę. Teraz chodziłem znów w mundurze i podlegałem dyscyplinie wojskowej. W końcu otrzymałem rozkaz wyjazdu.

Do Piotrkowa pojechałem przez Warszawę. Pierwszy raz w życiu byłem w Warszawie w 1918 roku i chciałem oglądnąć stolicę Państwa Polskiego. Z dworca głównego, czyli wiedeńskiego wyszedłem i tak na chybił trafił skierowałem się na ul. Marszałkowską w kierunku Ogrodu Saskiego, potem na ul. Królewską, aż zaszedłem na Krakowskie Przedmieście. Pomyślałem sobie, że prawdopodobnie zabłąkałem się i nie natrafiłem na centrum miasta. Poszedłem do policjanta i poprosiłem go o wskazanie mi centrum miasta, gdyż prawdopodobnie zboczyłem i jestem już na przedmieściu. Policjant wyjaśnił mi całą sytuację i teraz już planowo zwiedzałem miasto.

Po pewnym czasie spotkałem na ulicy znajomego pana, który przedtem również był w Astrachaniu i wcześniej wyjechał do Warszawy. Pochodziliśmy jeszcze trochę po mieście, potem wstąpiliśmy do kawiarni na kawę i opowiadaliśmy o ciężkich chwilach, jakie przeżywaliśmy podczas podróży z Astrachania do Polski. W końcu pożegna-

liśmy się, a ja wyjechałem do Piotrkowa. Do Piotrkowa przyjechałem w pierwszej połowie października 1918 r. i zgłosiłem się do komendanta pułku. Przydzielono mi kwaterę w hotelu, a wikt pobierałem w kasynie oficerskim.

ROZBRAJANIE WOJSKA AUSTRIACKIEGO

Musiałem wypełnić personalny arkusz rejestracyjny oraz napisać obszernie usprawiedliwienie, w jakich okolicznościach dostałem się do niewoli rosyjskiej. Potem wezwano mnie przed sąd wojenny celem ustnego naświetlenia ostatniej bitwy, w której dostałem się do niewoli. Sąd wojenny uznał moje usprawiedliwienie za wystarczające, uwolnił mnie od winy i kary oraz przyjął mnie w stan oficerów. Po dwutygodniowym pobycie w pułku otrzymałem dwumiesięczny urlop wypoczynkowy na miesiąc listopad i grudzień 1918 roku. Z końcem października 1918 roku wyjechałem w nocy z Piotrkowa w kierunku na Trzebinę, Dziedzice, Bogumin, Przywóz do domu do Datyń Dolnych.

Kiedy byłem w Zawierciu słyż w pociągu wieści od konduktorów kolejowych o rozbrajaniu wojska w Trzebinii. Ja nie orientowałem się w sytuacji politycznej, gdyż

ledwo co przyjechałem do kraju i nie miałem pojęcia o nastrojach ludności cywilnej czy też wojska. Nad ranem dojechaliśmy do Trzebini. Z pociągu widzieliśmy na peronie wielką kupę karabinów złożoną przez wojsko austriackie niepolskiej narodowości. Na stacji kolejowej stało kilka pociągów z wojskiem austriackim, ale wszyscy żołnierze chętnie oddawali broń.

W tym samym w przedziale wagonu drugiej klasy oprócz mnie siedziało jeszcze pięciu oficerów austriackich narodowości niemieckiej. Ja wyszedłem z wagonu na peron i zapytałem kaprała Polaka, który całą akcją rozbrajania wojska kierował, co właściwie się dzieje? Kaprał powiedział mi, że cesarz Karol już uciekł z Wiednia, a w Wiedniu wybuchła rewolucja i dlatego Polacy rozbrajają wojsko austriackie in-

nych narodowości, a żołnierzy odsyłają do domu.

Nasz pociąg miał już dawno odjechać dalej w kierunku Dziedzic, jednak z powodu rozbrajania wojska, odjazd nasz się odwlekał. Poszedłem do wagonu i tam podzieliłem się wiadomościami z innymi oficerami. Za jakie pół godziny przychodzi do naszego przedziału ów polski kapral, z którym poprzednio rozmawiałem, w asyście dwóch żołnierzy, stanął na baczność, zaszalutował i zameldował wszystkim oficerom w przedziale, że monarchia austriacko-węgierska się rozpadła, a cesarz Karol opuścił Wiedeń. Wobec tego wzywa wszystkich oficerów, by ze swoich czapek oficerskich usunęli odznakę austriacką. Był to taki duży guzik wyszywany złotymi nićmi, na którym widniała litera „K”, co znaczyło cesarz „Karol”.

PRZYJĘCIE DO WOJSKA POLSKIEGO

Wszyscy oficerowie się ociągali i jeden patrzył na drugiego. Wtem pyta się mnie polski kapral, gdzie na półce leży moja czapka. Pokazałam mu. Kapral zabrał moją czapkę i odciął z niej guzik z odznaką „K”, a na tym miejscu przypiął mi orzełka polskiego oraz zażądał za orzełka jedną koronę. Zapłaciłem mu koronę, a on oddał mi czapkę. Tym sposobem zostałem przez kaprała przyjęty do wojska polskiego. Inni oficerowie w przedziale sami odcinali sobie guziki z odznaką z czapki, więc kapral nie miał z nami za długo kłopotu, zaszalutował i wyszedł z przedziału.

W drugiej połowie tego wagonu jechał w przedziale klasy pierwszej generał austriacki, a jak się później okazało, był to generał Szeptycki. Kapral od nas poszedł do generała i również zameldował mu to samo, co nam poprzednio. Z ciekawości wyszedłem na korytarz, patrzyłem przez okno wagonu na peron i dobrze przysłuchiwałem się ich rozmowie. Generał Szeptycki tłumaczył kapralowi, że jedzie do Wiednia do cesarza Karola w sprawie Legionów Polskich, więc musi mieć na czapce odznakę austriacką. Kapral jednak twierdził, że cesarza już nie ma, więc nie ma sensu jechać w tych sprawach do Wiednia. Teraz sobie już nie przypominam, czy generał Szeptycki zdjął odznakę z czapki czy nie. W każdym razie po chwili kapral wyszedł z przedziału, a generał Szeptycki pozostał nadal w swoim przedziale.

PO DWÓCH I PÓŁ ROKU W DOMU

Dopiero po południu pociąg nasz ruszył w dalszą drogę. Na większych stacjach kolejowych jak Oświęcim, Dziedzice, Bogumin można było również obserwować rozbrajanie żołnierzy. W Przywozie wysiadłem i poszedłem dwadzieścia kilometrów na piechotę do domu – do Datyń Dolnych. Do domu przyszedłem po półtora roku nieobecności. Radość w domu była wielka. Oprócz matki i siostr zastałem również szwagra Harmatę, który się w międzyczasie ożenił z moją siostrą Teresą. Szwagier Harmata był również oficerem austriackim i chwilowo był na urlopie. W krótkości opowiedziałem im moje przygody, a opowiadanie pozostawiłem sobie na późniejszy czas.

Rano dowiedzieliśmy się, że w nocy był w Cieszynie przewrót wojskowy, a oficerowie Polacy objęli tam komendę. Wezwali



WARSZAWA. Ul. Wierzbowa. VARSOVIA. Rue Wierzbowa.



BOHUMIN.

ODER-ERG

oni wszystkich żołnierzy i oficerów Polaków do zgłaszania się do wojska polskiego w Cieszynie. Jeden dzień byliśmy w domu. Na drugi dzień rano pojechałem ze szwagrem Harmatą do Cieszyna i zgłosiliśmy się do wojska. Szwagra Harmatę jako specjalistę przydzielono do intendentury, a mnie przydzielono do komendy pułku jako oficera telefonicznego i oficera łączności. W komendzie pułku zastałem kaprała Gustawa Morcinka, znanego obecnie pisarza na Śląsku, który odegrał wybitną rolę podczas przewrotu wojskowego w Cieszynie.

PRZEBIERANKI CZESKICH OFICERÓW

Służba w komendzie pułku w miesiącach listopadzie i grudniu 1918 roku upłynęła nam spokojnie. Jednak w styczniu 1919 roku poczęły nadchodzić różne niepokojące wieści o rzekomym napadzie Czechów na Śląsk Cieszyński, chociaż została zawarta ugoda graniczna pomiędzy Radą Narodową w Cieszynie a *Slezským národním výborem* w Ostrawie. 23 stycznia 1919 roku Czesi napadli bez wypowiedzenia wojny na Śląsk Cieszyński, przy czym wzięli się na podstęp.

Oficerowie czescy przebrani w mundury oficerskie angielskie, francuskie, amerykańskie i włoskie przyjechali do Rady Na-

rodowej do Cieszyna na Zamek, przedstawili się jako Wojskowa Komisja Międzynarodowa (aliancka) z Ostrawy i zażądali wycofania wojska polskiego za rzekę Białkę, celem oddania Czechom całego Śląska Cieszyńskiego. Również z Wojskowej Komisji Alianckiej z Ostrawy nadszedł do dowództwa pułku Wojska Polskiego w Cieszynie telefon w języku francuskim z żądaniem wycofania wojska polskiego za rzekę Białkę. Miałem wtenczas służbę przy telefonie, więc osobiście odbierałem depeşe.

W Radzie Narodowej, jak również u generała Latinika nastąpiła konsternacja. Rada Narodowa przyjęła Komisję Aliancką za prawdziwą, ale generał Latinik nie bardzo dowierzał tej komisji i zwrócił się w tej sprawie telefonicznie do Komendy Wojskowej w Krakowie, do Sztabu Generalnego w Warszawie oraz do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. Po jakichś dwóch godzinach przyszła odpowiedź z Warszawy, ażeby rzekomą Komisję Aliancką aresztować, ponieważ jest to komisja fałszywa, w międzyczasie jednak rzekoma Komisja Aliancka odjechała do Ostrawy. W godzinach popołudniowych nadeszły do Komendy pułku depeşe od naszych wojskowych posterunków granicznych, że wojsko czeskie maszeruje ku naszej granicy.

WALKA BYŁA NIERÓWNA

Generał Latinik porozumiał się natychmiast z Komendą Wojskową w Krakowie i z Radą Narodową w Cieszynie i postanowiono stawić opór wojsku czeskiemu. Czesi maszerowali dwoma pułkami bojowo wyposażonymi w karabiny maszynowe, artylerię, samochody itd., a nasze wojsko liczyło wszystkiego jakie trzy kompanie, i nimi było trzeba obsadzić front od Jabłonkowa aż po Bogumin. Zaznaczyć muszę, że były to kompanie wartownicze potrzebne do pilnowania różnych obiektów wojskowych i magazynów. Walka była nierówna. Jednak miejscowa ludność cywilna chwyciła za broń i stawiała zacięty opór. Tak było w Trzyńcu, Karwinie, Orłowej i Boguminie.

Dowództwo pułku przemianowano na dowództwo frontu śląskiego z dowódcą generałem Latinikiem na czele. Zdawaliśmy sobie sprawę, że granicy czesko-polskiej nie zdołamy obronić i wycofaliśmy się na linię Goleiszów, Ogrodzona, Kończyce Małe i Zebrzydowice. Dowództwo frontu mieliśmy w szkole podstawowej w Skoczowie. Nie będę tu opisywał całego przebiegu wojny czesko-polskiej, gdyż przekraczałoby to granice pamiętnika i musiałoby to być osobną wojskową rozprawą naukową.



Stwierdzić jednak muszę z całą bezstronnością, że niektórzy żołnierze czescy nie zachowali się po rycersku wobec rannych polskich żołnierzy leżących w polu, tak jak to było pod górą Chełm i wsią Kisielów. Ale takie wybryki zdarzają się w każdej armii.

ZAWIESZENIE BRONI I WYZNACZENIE NOWEJ LINII DEMARKACYJNEJ

Dokładnie już daty nie pamiętam, ale po jakich dwóch tygodniach przyszło do zawieszenia broni między wojskiem czeskim a polskim. Kapitan czeski Kohout przyszedł z frontu czeskiego jako parlamentarzysta do generała Latinika do Skoczowa i prosił o zawieszenie broni. General Latinik porozumiał się w tej sprawie z Komendą Wojskową w Krakowie, gdzie wyrażono zgodę na zawieszenie broni. W międzyczasie sprawą wojny czesko-polskiej zajęła się Komisja Międzynarodowa w Paryżu, która wyznaczyła komisję wojskową składającą się z oficera angielskiego – pułkownika Coulsona, majora francuskiego Marchalla, pułkownika Tissi i porucznika USA Bassa. Komisja ta mająca siedzibę w Cieszynie w Hotelu pod Jeleniem wyznaczyła nową linię demarkacyjną. Biegła ona w ten sposób, że cała linia kolejowa Jabłonków–Bogumin była po polskiej stronie.

Wojsko czeskie musiało się wycofać poza nową linię demarkacyjną, a wojsko polskie triumfalnie witane kwiatami przez ludność miejscową wkroczyło do Cieszyna. Ja zostałem przydzielony jako oficer telefoniczny do Komisji Alianckiej z siedzibą w Hotelu pod Jeleniem. Komisja Aliancka miała cel czysto polityczny, a zadaniem jej było zatłwić i rozstrzygnąć spór graniczny czesko-polski. Postanowiono nawet przeprowadzić plebiscyt na Śląsku Cieszyńskim. Nie będę opisywał przebiegu sporu czesko-polskiego, gdyż na ten temat można by napisać całą rozprawę polityczną.

„URLOP” W DATYNIACH DOLNYCH

Po kilku miesiącach mej służby przy Komisji Alianckiej w Hotelu pod Jeleniem w charakterze oficera telefonicznego, Sztab Generalny w Warszawie powołał mnie w czerwcu 1919 roku na kurs łączności do Warszawy. Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu z wynikiem celującym zostałem przydzielony jako oficer łączności do kompanii telegraficznej Naczelnego Dowództwa w Warszawie. Po krótkim pobycie w Warszawie otrzymałem dłuższy urlop wypoczynkowy, który miałem zamiar spędzić w domu na wsi u matki w Datyniach Dolnych. Ale wieś ta była już pod okupacją czeską.

Z Warszawy przyjechałem do Cieszyna, przebrałem się do ubrania cywilnego i pojechałem koleją z Cieszyna do Szumbarku. W Olbrachcicach była linia demarkacyjna i graniczna stacja kolejowa. Na stacji kolejowej w Olbrachcicach wszyscy pasażerowie podlegali kontroli dokumentów osobistych przez wojsko czeskie. Nie byłem na to przygotowany. Znalaziono przy mnie list adresowany do mnie na adres wojskowy. To postużyło im do aresztowania mnie i odestania mnie naprzód do Karwiny, a potem do Morawskiej Ostrawy. Sprawę moją przekazano do czeskiego sądu wojskowego.

Siedziałem w areszcie w Morawskiej Ostrawie w jednej celi z księdzem Frankiem z Bogumina, późniejszym proboszczem w Dziedzicach–Czechowicach. Siedziałem już trzy tygodnie bez wszelkiego przesłuchania. Jednak aresztowanych Polaków z zagłębia ostrawsko-karwińskiego było coraz więcej. Górnicy zagłębia węglowego oświadczyli, że jeżeli Czesi nie wypuszczą aresztowanych Polaków, to rozpoczną strajk. Były to czasy, kiedy było potrzeba węgla, a po drugie Czesi chcieli uchodzić wobec zagranicy za państwo, w którym panuje ład i porządek i że u nich nie ma strajków, tak jak w Polsce.

Czesi ulekli się strajku górników i przyrzekli wypuścić aresztowanych Polaków. Wypuszczono również i mnie. Pojechałem do domu do matki. Byłem w domu tylko jeden dzień. Radzono mi bowiem nie zamieszkać u matki, tylko po polskiej stronie, a to ze względu na własne bezpieczeństwo. Również i mój kuzyn, Józef Pellar, kapitan Wojska Polskiego, wyjechał z Datyń Dolnych i zamieszkał również w Cieszynie, aby być w bezpiecznym miejscu. Nasze postanowienie okazało się bardzo słuszne – wkrótce terror rozpoczął szaleć po wsiach polskich okupowanych przez Czechów.

WOJNA Z ROSJĄ BOLSZEWICKĄ

W Cieszynie spędzałem mój urlop wypoczynkowy. Miałem dużo wolnego czasu. Często pomagałem w redakcji „Głosu Ludu Śląskiego” w Cieszynie. Była to gazeta, która wychodziła dwa razy w tygodniu, chętnie czytana przez miejscową ludność Śląska Cieszyńskiego. Przeprowadzałem korektę gazety i często byłem sam przy tak zwanym *łamaniu gazety*, to znaczy przy układaniu kolejności artykułów w gazecie. Nieraz też pisałem artykuły do „Głosu Ludu Śląskiego”. Wszelką robotę wykonywałem bezpłatnie, gdyż byłem zainteresowany wydarzeniami na Śląsku Cieszyńskim i mającym się tam odbyć plebiscytem.

Polska prowadziła w tym czasie wojnę z Rosją bolszewicką. Armia Polska cofała

się spod Kijowa pod naporem wojska bolszewickiego. Wszyscy oficerowie ze Śląska Cieszyńskiego, będący na dłuższym urlopie wypoczynkowym, uchwalili zgłosić się do dyspozycji swych jednostek wojskowych. Również i ja zgłosiłem się w lipcu 1920 roku i zostałem przydzielony jako szef łączności do sztabu dywizji ochotniczej. Kompania telegraficzna znajdowała się w Konorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Otrzymałem rozkaz pomaszerowania z kompanią w kierunku na Białystok. Po uporządkowaniu kompanii i uzupełnieniu ekwipunku pomaszerowałem przez Ostrów Mazowiecką do Zambrowa i tam zanocowaliśmy. Potem pomaszerowałem do miasteczka Wysokie Mazowieckie, gdzie przybyłem z kompanią koło północy.

Do miasteczka przylegał duży folwark. Chciałem na noc ulokować całą kompanię w zabudowaniach folwarcznych. Miałem około 350 żołnierzy, 25 wozów parokonnnych ze sprzętem telefonicznym i telegraficznym, kuchnię polowa itd. Pukałem do bramy folwarku. Za bramą odezwał się stróż nocny. Poprosiłem go o wpuszczenie i prznocowanie żołnierzy w stodole. Niestety właścicielka folwarku – a jak się później okazało jakaś hrabianka – nie zezwoliła stróżowi wpuścić wojska polskiego na teren folwarku w ogóle, wobec czego wszyscy żołnierze położyli się do rowu biegnącego wzdłuż samego muru ogrodzenia folwarku. Ludzie z miasteczka, ciekawi, co się to w nocy dzieje, przychodzili

na nas patrzeć, a gdy się dowiedzieli, że nie wpuszczono nas na folwark, pozabierali na noc żołnierzy do siebie.

Ja spałem u organisty, który na śniadanie ugościł mnie herbatą, chlebem z maseł i miodem. Podziękowałem mu bardzo za gościnność i poszedłem do żołnierzy. Tam już kucharze wydali żołnierzom śniadanie, więc szykowaliśmy się do odmarszu. Gdy już prawie wszystko wojsko stało na drodze, zjawia się właścicielka folwarku, pani „hrabina”, z pretensjami do mnie, jako do komendanta, że żołnierze narwali owocu w jej ogrodzie, który to owoc już z góry *spachtowała*, czyli sprzedała już na drzewie Żydowi pachciarzowi.

A ja, siedząc na koniu, bo nie uważałem za stosowne zejść z konia, odpowiadam jej: *To my przychodzimy bronić kraju, a właścicielka pani przed wrogiem, a pani na noc nie wpuściła żołnierzy na folwark do stodoły i teraz jeszcze nie życzy pani żołnierzom trochę owocu?! Ja życzę pani, jak tu przyjdą bolszewicy, żeby pierwszą panią powiesili na pierwszym lepszym drzewie, bo nic innego pani nie zasługuje. Pani jest Polką? Pani jest skończonym chamem i draniem, a nie Polką!.* Wszyscy żołnierze i podoficerowie słyszeli moje słowa, bo czym dałem rozkaz wymarszu. Było to w lipcu 1920 roku, a dziś, kiedy piszę te słowa, to jest w roku 1959, jeszcze jestem oburzony na postępowanie tej pani „hrabiny”.

Ciąg dalszy nastąpi.





IZABELLA WOŁŁEJKO-CHWASTOWICZ TO BYŁO BARDZO NIETYPOWYCH PIĘĆ LAT

ROZMAWIAŁA: HALINA SZCZOTKA / FOT. ARCHIWUM REDAKCJI

W piątek 14 czerwca zakończyła swoją pracę na stanowisku konsula generalnego RP w Ostrawie Izabella Wołłejko-Chwastowicz. Poprosiliśmy ją o podsumowanie jej pięcioletniej misji dyplomatycznej.

Kończy się pani pięcioletnia kadencja, jak pani ją ocenia? Które momenty i osiągnięcia uważa pani za najważniejsze?

Myślę, że nie można mówić o spektakularnych sukcesach w kontekście pracy konsula. Sukcesy odnoszą sportowcy, jak na przykład czescy hokeiści, którzy wygrali mistrzostwa. Praca konsula nie składa się z wielkich triumfów czy porażek, to codzienna, systematyczna działalność. Moż-

na ją porównać do pracy nauczyciela, który wychowuje i kształtuje ludzi, ale efekty tej pracy są często widoczne dopiero po czasie.

Ostatnie pięć lat było bardzo nietypowych, zwłaszcza ze względu na pandemię COVID-19, która zaburzyła wszystkie sposoby komunikacji i zarządzania czasem wolnym. Wydarzenia kulturalne i organizowane spotkania praktycznie zanikły. Wciąż odczuwamy brak uczestników na

różnego rodzaju wydarzeniach, ponieważ ludziom trudno jest wrócić do dawnego trybu życia.

Przyjechałam tutaj z licznymi projektami i propozycjami działań, które miały na celu rozwój polskiej społeczności. Pandemia zweryfikowała wiele z tych planów, ale jednocześnie pozwoliła nam na rozwinięcie wirtualnej komunikacji ze światem. To był duży plus dla wszystkich organizacji na Zaolziu.

Czyli sukcesem jest to, że Zaolzie jest aktywne w Internecie?

Tak, moim zdaniem możemy mówić o Zaolziu 2.0, może jeszcze nie 3.0, ale z pewnością 2.0. Polskie organizacje i szkoły komunikują się z całym światem za pomocą Internetu i mediów społecznościowych. Zaczęły być widoczne i rozpoznawalne na szerszą skalę. Akcja wpisywania Zaolzia do Wikipedii otworzyła okno dla polskich organizacji i historii tego regionu, pozwalając nam pochwalić się naszym dziedzictwem. Co roku na Zaolziu mamy falę wydarzeń kulturalnych, historycznych i edukacyjnych, które znikają po ich zakończeniu. Ważne jest, aby te działania były widoczne nie tylko w tradycyjnych mediach, jak gazety czy portale internetowe „Zwrotu” czy „Głosu”, ale także w sieciach społecznościowych.

W ciągu tych pięciu lat udało się aktywnie wprowadzić Zaolzie do wirtualnego świata, nie tylko w formie archiwizacji. Udało się mu zaistnieć online, co uważam za duży sukces, choć to oczywiście nie ja jestem jego autorką, tylko właśnie polskie organizacje.

Nadal jednak są pewne niedociągnięcia, np. niektóre polskie instytucje mają adresy internetowe zapisane po czesku?

Myślę, że to jest kolejny etap rozwoju naszej społeczności i organizacji. Najpierw musimy wejść do nowej przestrzeni, a potem zrozumieć, że potrzebujemy zarówno polskich, jak i czeskich nazw, ponieważ działamy w dwóch przestrzeniach kulturowych i językowych. To trochę jak wprowadzenie się do nowego mieszkania – najpierw otwieramy drzwi, a potem decydujemy, co gdzie umieścić.

Wróćmy jeszcze do tematu pandemii COVID-19, która mocno wpłynęła na pani kadencję.

Pamiętam, jak na przesłuchaniu przed objęciem funkcji obiecałam, że będę dążyć do zacieśnienia współpracy między służbami bezpieczeństwa działającymi przy granicy. W 2019 roku spotkałam się ze wszystkimi: policją, strażą graniczną, strażą pożarną, celnikami. Miałam kontakty do wszystkich



szeffów tych służb. Kiedy zamknięto granice, te kontakty okazały się kluczowe.

Kluczowe było też ogromne zaangażowanie władz samorządowych w dążeniu do udrożnienia granic dla pracowników transgranicznych. Nie udało się tego osiągnąć bez bezpośrednich nacisków wójtów, burmistrzów, marszałków oraz firm i izb gospodarczych po obu stronach granicy. Ich szybka reakcja i pomoc były nieocenione.

Czy zamknięcie granic nie wyrządziło więcej szkody, niż pożytku?

Perspektywa zarówno Pragi, jak i Warszawy była z początku skupiona na ochronie obywateli przed zarazą, nawet kosztem upadku gospodarczego. Jednak z czasem zaczęto rozumieć, że ochrona ludzi nie ma sensu, jeśli nie będą mieli gdzie pracować.

To zrozumienie przyszło dzięki osobistym kontaktom i zaangażowaniu wielu osób.

Pandemia pokazała, jak bardzo zamknięcie granic zablokowało nie tylko pracę, ale także prywatne życie ludzi.

Wyciągnęliśmy wnioski z tej sytuacji? Czy historia zamkniętych granic może się powtórzyć?

Jestem przekonana, że takie zamknięcie granic już się nie powtórzy, ponieważ zdajemy sobie sprawę z jego ogromnych skutków społecznych, gospodarczych, psychicznych i zdrowotnych. Niektóre systemy wprowadzone podczas pandemii mogą być wykorzystane w przyszłości w sytuacjach kryzysowych. Na pewno udoskonaliłiśmy naszą komunikację kryzysową i współpracę z konsulatami polskimi na całym świecie.

Praca konsula to nie tylko współpraca z miejscowymi Polakami, ale też współpraca z władzami gmin, miast, województwa. Jak ta się układała?

Współpraca z Polonią to prawie 80% działalności tej placówki. Jeśli chodzi o współpracę z władzami województwa morawsko-śląskiego, to myślę, że układała się ona całkiem dobrze. Niektórzy może byli trochę zaskoczeni, że zaczynam pytać o sprawy, o które wcześniej nikt się nie pytał, uczestniczyć w spotkaniach, poruszać tematy i proponować pewne rozwiązania. Czeskie władze w 80% reagowały bardzo pozytywnie i były zadowolone, że mają partnera w postaci konsula generalnego.

Jednak niektórzy nie byli zadowoleni, gdy na przykład wysyłałam pisma dotyczące negatywnego stanowiska w sprawie budowy obwodnicy w Hawierzowie. To było dużym zaskoczeniem dla czeskich władz.

W pozostałych regionach również układało się to dobrze. Współpraca z miastem Ołomuńcem była bardzo owocna – udało nam się zorganizować Polski Sezon, Polskie Dni w czeskich szkołach oraz zainteresować Polską w różnych dziedzinach. Starłam się wpisywać w to, co już było realizowane w Ołomuńcu. Bardzo dobrze układała się współpraca z Brnem, chociaż nie była tak intensywna jak w Ostrawie i w województwie morawsko-śląskim.



Podczas dyżuru konsularnego

A jak współpraca z gminami na Zaolziu?

Niestety, nie udało mi się spotkać ze wszystkimi wójtami w gminach. Myślę, że spotkałam się z każdym prezydentem czy burmistrzem miasta, ale nie chodzi tutaj o częstotliwość czy liczbę tych spotkań. Ważniejsze jest, czy ten partner rozumie nasze oczekiwania i jest w stanie powiedzieć, co możemy zrealizować, a czego nie. W wielu gminach mamy wójta, zastępcę wójta, którzy są przedstawicielami polskiej mniejszości. W takich przypadkach współpraca była bardzo intensywna i owocna.

Porozmawiajmy teraz o Polakach na Zaolziu. Co panią zaskoczyło po przyjeździe na placówkę?

Bardzo zaskoczył mnie brak koordynacji działań poszczególnych organizacji. Wiedziałam, że dużo się tutaj dzieje, ale nie miałam pojęcia, że nikt nad tym nie panuje. Nie ma żadnej instytucji, która by koordynowała te zadania. Co roku odbywają się te same wydarzenia, ale brakuje centralnego kalendarza, do którego każdy mógłby wpisać swoje imprezy.

Przez to w 2019 roku musiałam wybierać, na które dożynki pójść, ponieważ kilka wydarzeń odbywało się w tym samym czasie. Organizatorzy wybierali daty, które były dla nich najlepsze, bez względu na kolizje z innymi wydarzeniami. Najgorsze jest to, że brakuje refleksji nad tym, aby wydarzenia się nawzajem uzupełniały.

Czy taka koordynacja jest możliwa?

Zdecydowanie, można by to lepiej zorganizować. Mamy trzy, cztery ważne wydarzenia, które dzięki jednej bazie można by podzielić tak, aby nie kolidowały ze sobą. Nawet jeśli odbywają się w ten sam dzień, można ustalić różne godziny – jedno rano, drugie po południu, zamiast wszystkie o 14:00.

Dożynki, na przykład, muszą odbywać się w określonym okresie, ale zawsze można zrobić wspólne dożynki dla kilku wsi. Byłoby to wyzwanie logistyczne, ale na pewno wydarzenie, które mieszkańcy by zapamiętali.



Konsul generalna Izabella Wołhejko-Chwastowicz podczas uroczystości przekazywania odznaczeń z okazji 75-lecia PZKO w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie

To jeden z elementów zarządzania kulturą, której uczy się przez kilka lat na wyższych uczelniach. Jak ocenia Pani ogólny stan zarządzania kulturą na Zaolziu? Czy jest coś, co można by poprawić?

Rzeczywiście, zarządzanie kulturą to skomplikowane zadanie, które wymaga odpowiednich kompetencji i wiedzy. Na Zaolziu często zajmują się tym osoby, które nie mają formalnego wykształcenia w tym zakresie. Nadgorliwość nie zawsze przynosi dobre rezultaty – ochotnik nie zawsze oznacza sukces. Wolontariat jest piękną ideą, ale jeśli chcemy, aby kultura przynosiła dochody, musimy podejść do tego profesjonalnie.

Nie możemy polegać tylko na osobach, które chcą pomagać, ale nie mają odpowiednich umiejętności. Czas przekazać zarządzanie kulturą ludziom z wiedzą i doświadczeniem. Nie wpuścimy przecież do przeprowadzenia remontu domu kogoś, kto się na tym nie zna, tylko dlatego, że ma wolny czas. Na Zaolziu mamy prawdziwe perełki, jeśli chodzi o tradycje i kulturę, a wpuszczamy tam ochotników, którzy wejdą, ochlapią farbą i powiedzą, że jest fajnie. Potrzebujemy profesjonalistów, aby tym wszystkim odpowiednio zarządzać.



Konsul generalna Izabella Wołłejko-Chwastowicz w stroju cieszyńskim



Konsul generalna w Gródku podczas obchodów 150. rocznicy urodzin Wincentego Witosa

Skąd wziąć środki finansowe na zatrudnienie takich specjalistów?

Te pieniądze są dostępne. To nie jest kwestia braku funduszy, ale raczej decyzji o ich odpowiednim wykorzystaniu. Jeśli chcemy, aby kultura była zarządzana profesjonalnie, musimy zapłacić za to osobom, które mają odpowiednie kwalifikacje.

Na Zaolziu nauczyliśmy się realizować projekty za pomocą grantów i dotacji. Potrzebujemy instytucji, która profesjonalnie zajmie się zarządzaniem kulturą, zarabiając na reklamach i wchodząc w świat biznesu kultury. To pozwoli na rozwój i promowanie naszej kultury na jeszcze wyższym poziomie.

Mamy np. kilka domów z bazą noclegową. Powinniśmy zatrudnić jedną osobę, która zajmie się wynajmem tych miejsc i doprowadzi je do nowoczesnego standardu, który pozwoli na generowanie dochodów. Nie może być tak, że wszystkie domy PZKO są wykorzystywane tylko jako domy weselne i sale, w których organizuje się stypy. Musimy podnieść ich standard i zadbać o lepsze zarządzanie, aby mogły przynosić zyski i służyć szerokiemu gronu odbiorców.

Powstało Centrum Polskie Kongresu Polaków w RC. To jest profesjonalna organizacja.

Myślę, że Centrum Polskie mogłoby być taką profesjonalną instytucją, ale obecnie brakuje tam jasnej koncepcji działania.

Na początku, podczas konferencji prasowej, byłam pełna entuzjazmu. Sądziłam, że Konsulat Generalny będzie miał odpowiednią instytucję do współpracy. Niestety, tak nie jest.

Ubolewam nad tym, że nie udało nam się nawiązać regularnej, stałej współpracy w zakresie propagowania i rozpowszechniania kultury polskiej. Wydarzenia organizowane przez Centrum są często chaotyczne i brak im spójnej wizji. Niektóre z nich wydają się być organizowane tylko dla samej idei ich przeprowadzenia, bez większego celu.

Rozumiem, że może to zabrzmieć krytycznie, ale być może warto posłuchać osoby z zewnątrz, która widzi ten chaos z innej perspektywy. Ich program, który był podzielony na trzy części: promocję Zaolzia w Czechach, promocję Zaolzia w Polsce oraz współpracę w zakresie edukacji i języka polskiego, mógłby przynieść lepsze efekty, gdyby był realizowany konsekwentnie.

Na mnie na przykład wrażenie zrobił mural i deska, za którymi właśnie stoi Centrum Polskie. To jednak bardzo pozytywna aktywność?

Oczywiście. Gdy Centrum Polskie dopiero powstawało, mówiłam, że warto byłoby stworzyć murale w każdym mieście, ponieważ jest to doskonała metoda dotarcia do bardzo szerokiej grupy odbiorców. Udało się zrobić mural Kopernika. Pamiętam, jak do mnie zadzwonił pan Chybiorz i mówił,

że mają problem z umieszczeniem muralu – mieli wykonawcę, ale nie mogli znaleźć odpowiedniego miejsca. Zapytałam, czy rozmawiali z właścicielami budynków, i okazało się, że nawet tego nie próbowali. To pokazuje, jak często wychodzimy z pomysłem, ale nie mamy odwagi lub determinacji, aby go zrealizować.

Innym przykładem była sytuacja z wystawą na płocie szkoły w Karwinie. Zadzwoiłam do dyrektora szkoły i zaproponowałam wystawę na płocie. Odpowiedział, że się obawia, że wystawa zostanie zniszczona. Ale zaryzykowaliśmy i okazało się, że wystawa nie została zniszczona, potem były tam kolejne wystawy. Często obawiamy się negatywnych skutków, zamiast spróbować zrealizować nasze pomysły.

Zaolzie często żyje we własnym wyobrażeniu świata i tego, co jest możliwe. Brakuje zderzenia różnych punktów widzenia i podejścia „spróbujmy, może się uda”. Nikt się o nas nie dowie, jeśli nie zrobimy pierwszego kroku.

Porozmawiajmy teraz o jednej z części działań polskiej mniejszości, którą jest kultura. Jak, pani zdaniem, znaleźć równowagę między dbaniem o tradycję a otwarciem się na nowości?

Zamiłowanie Zaolziaków do folkloru jest naprawdę niespotykane. Dla państwa polskiego, Polonia i Polacy mieszkający za granicą są partnerami w promocji polskiej kultury. Tutaj na Zaolziu wasze działania skupiają się głównie na szerokiej promocji i kultywowaniu zwyczajów ludowych ziemi cieszyńskiej oraz promocji polskiego folkloru.

Jednak brakuje tu czegoś na wzór akcji „Polish Heritage Day” w Londynie, gdzie organizowane są dni polskiego dziedzictwa. Próbowałam stworzyć coś podobnego – kilkudniowe lub miesięczne wydarzenie, które mogłoby dotrzeć do światowego projektu, ale na razie się to nie udało.

Czy to może się zmienić? Czy Zaolzie jest specyficznym miejscem, gdzie takie inicjatywy mają trudności z realizacją?

Zaolzie jest specyficzne. To są południowe kresy, które mają swój unikalny klimat.



Polska została w was, mimo że zmieniły się granice. Współpraca powinna polegać na czymś innym. Polskiej kultury z Warszawy, Gdańska czy Wrocławia jest tu niewiele. To, co wy prezentujecie, to również polska kultura, ale nie mieści się ona w klasycznym obrazie polskiej kultury.

Czy zamykanie się na folklor nie sprawia, że tracimy młodych ludzi, którzy mogą nie czuć związku z tradycją?

Dzieciaki na Zaolziu są dumne z tego, że chodzą w strojach śląskich czy góralskich. Uczestniczenie w festiwalach i wydarzeniach kulturalnych jest dla nich wielką atrakcją. Problem leży nie w tym, że tracimy młodych, ale w tym, że brakuje nam zaangażowania 30- i 40-latków. Ta grupa wiekowa jest trudna do utrzymania, ponieważ często nie widzi potrzeby angażowania się w działalność kulturalną.

Jakie są możliwe rozwiązania tego problemu?

Trzeba kreować potrzebę zaangażowania. Możemy organizować kąciki dla dzieci podczas wydarzeń, co przyciągnie rodziców. Stworzenie placu zabaw przy polskim domu PZKO również przyciągnie mieszkańców. Jeśli rodzice zobaczą, że ich dzieci się świetnie bawią, będą bardziej skłonni się zaangażować.

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy powinien działać dla Polaków, pokazywać im kulturę i możliwości jej absorpcji. Kultura tutaj jest żywa, pełna amatorskich teatrów, zespołów folklorystycznych, dziecięcych i chóralnych. Nie możemy zamykać się na to, co mamy, ale musimy również pokazywać nowe możliwości i rozwijać zainteresowania.

Spójrzmy na szkolnictwo.

Przyznam, że w przypadku szkolnictwa mam pewne zastrzeżenia. Czuję pewien żal, brak odwzajemnionego zainteresowania. Starałam się nawiązać kontakty ze szkołami, nauczycielami, dyrektorami, ale sam kontakt jest bardzo trudny.

Wysyłałam kilkanaście maili rocznie, prosząc o udział w różnych konkursach, przekazując informacje o projektach i możliwościach współpracy. Niestety, tylko kilka szkół odpowiedziało na moją korespondencję. Zasady dobrego wychowania nakazują, że jeśli ktoś do mnie pisze, to ja odpowiadam. Tutaj nawet zabrakło chęci komunikacji. Oczywiście, są szkoły i dyrektorzy, którzy odpisują, dziękują i są w stanie powiedzieć: „Pani konsul, nie tak, to nie działa”.

Nie oczekuję, że narzucę swoją wizję wszystkim jednostkom oświaty, ale brak chęci działania na rzecz utrzymania polskości jest dla mnie wyraźnie widoczny. Koncentrujemy się na nauce języka polskiego, ale na przerwach dzieci mówią „po naszymu”.

Jakie są główne wyzwania dla polskich szkół na Zaolziu?

Główne wyzwanie to walka o nowych uczniów i utrzymanie polskości. Są szkoły, które angażują się i tworzą centra polskości w swoich gminach. Takie szkoły są papierkiem lakmusowym współpracy Polaków z lokalnymi władzami. Jeśli ta współpraca się układa, szkoła kwitnie. Jeśli nie, problemy mają zarówno szkoła, jak i PZKO.

Po wyborach samorządowych napisałam do każdego wójta, gdzie była polska szkoła, gratulując wyboru i wyrażając nadzieję na wsparcie polskiej mniejszości i edukacji. To była podstawa, którą mogłam zrobić, abstrahując od poszczególnych spotkań z władzami.

Jednak działania dyplomatyczne nie zastąpią działań na poziomie politycznym. Dyrektorzy szkół muszą dogadywać się z władzami. Dyrektor szkoły nie tylko zarządza placówką, ale pełni również funkcję oficera łącznikowego. Musimy wspierać dyrektorów, ale także od nich wymagać. Nie można zastaniać się brakiem czasu czy brakiem współpracy. Współpraca wymaga zaangażowania z obu stron.

Chciałabym podkreślić, że polskie szkoły na Zaolziu mają ogromny potencjał i ważną rolę do odegrania. Wierzę, że dzięki lepszej organizacji, współpracy i zaangażowaniu możemy utrzymać i rozwijać polskości w tym regionie.

Jako ostatni temat proponuję omówić rolę mediów, które są bardzo ważne w utrzymaniu polskości na Zaolziu. Jak Pani ocenia ich działanie?

Media, zarówno drukowane, jak i elektroniczne, zatrzymały się w pewnej fazie rozwoju. Stały się bardziej archiwum niż inspiracją czy twórczym impulsem. Są odzwierciedleniem, często ograniczają się do publikowania zdjęć i krótkich opisów wydarzeń. Brakuje im elementu kreowania opinii i wywołania emocji u odbiorców.

Media powinny odgrywać rolę czwartej władzy, kreując opinie i emocje. Brakuje tu dynamicznego podejścia, które zachęcałoby czytelników do aktywnego udziału w życiu społecznym i kulturalnym.

Jakie konkretne problemy zauważa Pani w działaniu mediów na Zaolziu?

Codziennie przeglądam serwisy jak „Zwrot” i „Głos”. Czasami znajduję potrzebne informacje, a czasami nie. Na przykład, podczas przygotowań do spotkania czy wyjazdu, często brakuje mi szczegółowych informacji o wydarzeniach czy osobach. Niedawno miała miejsce uroczystość 50-lecia zespołu *Cieszynianka*. Nie mogłam niczego znaleźć i musiałam zgadywać, o co chodzi. Dopiero w „Zwrocie” znalazłam informację sprzed pięciu lat, dotyczącą 45-lecia tego zespołu.

Media powinny szerzej informować, kreować kulturę i opinie. Na przykład, warto pokazywać powiązania polsko-czeskie, takie jak wpływ polskich artystów w Czechach. W mediach brakuje informacji o tym, co łączy nasze kraje i z czego możemy być dumni.

Czyli według Pani, media mogłyby odgrywać większą rolę w edukacji i promocji polskiej kultury na Zaolziu?

Zdecydowanie tak. Powinny popularyzować wydarzenia kulturalne, historyczne i edukacyjne. Przykłady koncertów polskich filharmonii w czeskich miastach, wywiady z polskimi artystami, którzy działają w Czechach, mogłyby wzbudzać dumę w Polakach mieszkających tutaj.

NIE ROSÓŁ, A FLAKI Z OLEJEM

TEKST: CZESŁAWA RUDNIK / ZDJĘCIA: KARIN DZIADEK

Stosunkowo głośna promocja, biorąc pod uwagę zasięg i możliwości tego teatru, oraz liczne reakcje zaciekawionych widzów poprzedzały kwietniową premierę przedstawienia *Kogut w rosole*, serwowanego w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie.

Jako główną przynętę spektaklu, która sprawiła, że w teatrze zjawily się także te osoby, które nie bywają w nim za często, reklamowano męski striptiz w wykonaniu aktorów Sceny Polskiej. Z kierownikiem artystycznym na czele. Prawdziwe męskie koguty, jak wynikało z tytułu sztuki, chociaż nie do końca sprawdziło się, rozbierały się do rosółu.

Jeszcze lepszą promocją okazały głosy tuż po premierze. W prasie, a potem w mediach społecznościowych rozpętała się burzliwa dyskusja, której bohaterami najbardziej atakowanymi nie stały się wcale gołe sempiterni wykonawców spektaklu, lecz język, którym się postugiwali.

Stanowisko w tej sprawie zajmowały również osoby, które nie widziały jeszcze przedstawienia, ale deklarowały, że na pewno obejrzą. Wszyscy wyrażali swoje zdanie w krótszych czy dłuższych komentarzach w kwestii, która zawsze rozogni zaolziańskie środowisko.

Autorem sztuki *Kogut w rosole* jest pochodzący ze Słowenii, a zamieszkały we Francji i Hiszpanii Samuel Jokic. W swoich utworach zajmuje się głównie tematyką



społeczną. Na język polski jego tekst przetłumaczyli z niemieckiego mieszkający obecnie w Niemczech polscy twórcy Herbert Kaluza i Marek Gierszał.

W Czeskim Cieszynie sztukę wyreżyserował Andrzej Sadowski, który przygotował również scenografię, kostiumy, opracowanie muzyczne, w nieco innej jeszcze wersji językowej. Jak wyjaśnił kierownik artystyczny Sceny Polskiej Bogdan Kokotek,

akcja dzieje się współcześnie na Zaolziu, a bohaterowie przedstawienia, chociaż nie wszyscy, bo polszczyzna też zabrzmi, mówią językiem „potocznym, naszym, tutejszym, zaolziańskim”.

Wzorcem była gwara z domieszkami czechizmów, okraszona dosadnymi wyrażeniami emocjonalnymi, jaką usłyszeć można w hucie w Trzyńcu i okolicach. Karkołomnemu zadaniu przełożenia polszczyzny na żargon „werkowy” starała się sprostać Izabela Kraus-Zür. Wywołana na premierze odeszła z kwiatkiem, jednak jej nazwisko zostało pominięte w programie do przedstawienia.

W dyskusji na temat ekwilibrystyki językowej zaolziańskiego *Koguta w rosole* pojawiły się także głosy solidaryzujące się z widzami spoza regionu, którzy mogli mieć problemy ze zrozumieniem tekstu. Jako przykład cytata: „Seblykómy sie ganc”. Przemówił jednak do nich na pewno kulminacyjny punkt przedstawienia, bo przecież taniec to międzynarodowy język ciała, czytelny dla wszystkich nacji.

Z bohaterami przedstawienia widz łatwo mógł się utożsamić poprzez język, którym się postugiwali, co nie oznacza, że musiał





którą tworzą jeszcze Paweł (Marcin Kaleta) i Jura (Grzegorz Widera), i postanawia, że zaczną zarabiać na życie tańcem (choreografia Gabriela Klusáková), podczas którego rozbiorą się do rosołu. Dołączą do nich jeszcze tajemniczy Mustafa (Adam Milewski) i lubiący panów Kamil (Kamil Mularz).

Pierwsza część spektaklu to w dużej mierze casting. Okazuje się, że odświeżeniu ciała towarzyszą różne lęki, zahamowania, obnażana jest równocześnie psychika, wychodzą kompleksy. Nie przejdzie pozytywnie takiej próby Lech (Jakub Wyszomirski). Po antrakcie trwają intensywne próby taneczne, teoretyczne wskazówki daje Stacho. Finał to aplauz rozgorączkowanej publiczności.

Moje dylematy aksjologiczne po obejrzeniu przedstawienia rozwiązane zostały, kiedy wpadło mi w ucho zdanie z popularnego, ze świetnymi dialogami, polskiego serialu: Sztuka jest antytezą normalności. I tu tkwi sedno sprawy, pomyślałam. Bo przecież w spektaklu pokazana została normalność.

Przy oklaskach, zaznaczam, że nie była to premiera, widzowie wstali z miejsc, ale raczej nie dla owacji na stojąco, lecz żeby już wreszcie móc opuścić widownię, udać się do szatni. Może im się tak śpieszyło, by potem w zaciszu domowym potrenować to, co zobaczyli w teatrze.

Samuel Jokic „Kogut w rosole”. Przekład Herbert Kaluza, Marek Gierszał, reżyseria, scenografia, kostiumy, opracowanie muzyczne Andrzej Sadowski, choreografia Gabriela Klusáková. Premiera: Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, 6 kwietnia 2024.

go w pełni akceptować. Wśród postaci wyróżniali się, nie tylko strojem, miłośnicy hokeja, kibice drużyny Stalowników Trzyniec. Znane i bliskie rodzimej publiczności były też miejsca akcji, „pezetka”, Dom Polski.

Wśród dekoracji pojawiły się elementy sceny symultanicznej, dwa mansjony, przedstawiające wystrój gospody oraz pokoju mieszkalnego. Przeszarały nieco sprzęt elektroniczny mógł wskazywać na ubóstwo czy zaściankowość postaci. Akcja rozgrywała się też na proscenium, które przed kulminacyjnym tańcem prezentowało się jako miejsce za kurtyną w owej „pezetce”.

Zaolziański *Kogut w rosole* wywołał skrajne reakcje, sprzeczne opinie, od zachwytów do ostrej krytyki. Podobnie jednak było, jak można przeczytać w recenzjach, również w Polsce. A tam przecież nie było tematu języka, dyskusji o gwarze, jej roli, czystości. Tam grano po polsku.

W zamieszczonej w programie do przedstawienia rozmowie Marek Gierszał opowiadał o problemach z wystawieniem *Koguta w rosole* w polskich teatrach. Chyba nie za wielu twórców spektakli przekonał, trochę lepiej poszło mu z kierownictwem teatrów. Ostatecznie sztukę zagrano w Krakowie, Chorzwie, Szczecinie, Bielsku-Białej, Białymstoku, ale reżyserował ją zawsze Gierszał.

Sama należę do osób, których ten eksperyment nie zachwycił. I w sumie cieszyłam się, że język spektaklu był taki, a nie inny, bo gdyby posługiwano się literacką polszczyzną, siedzenie na przedstawieniu byłoby dla mnie już zupełnie nie do zniesienia. A tak od pierwszych słów wiadomo było, że tego, co dzieje się na scenie tu i teraz, nie można traktować zbyt poważnie.

Na początku wydawało mi się, że aktorzy mówią szybko i niewyraźnie. Że obniżyli

poziom własnych umiejętności warsztatowych, by wypaść gorzej niż amatorzy. Potem było już lepiej albo ja się przyzwyczyłam. Najgorsze jednak było to, że tam się prawie nic nie działo, wiało nudą, akcja stała w miejscu lub ciągnęła się jak flaki z olejem.

Trochę na wyrost wydawało mi się filozofowanie twórców, jakich to ważkich tematów, życiowych dylematów, kluczowych decyzji dotyczy sztuka. Owe dylematy pozostawały w tle, były jakby tylko uwagami na marginesie. Chociaż to akurat spostrzeżenie mi się spodobało: „Nie ma takiego pociągu, którego nie można wykoleić”.

Kogut w rosole określony został jako komedia. I tak był odbierany przez większość widzów, którzy przyszli do teatru po dobrą zabawę. A przecież początek nosił znamiona dramatyczności. Stacho (Karol Suszka) wyspuje do swojego piwa trutkę na szczury i tylko przypadek sprawia, że go nie wypije. Chciał się zabić?

Wieczny optymista Adam (Bogdan Kokotek) staje na czele grupki zwolnionych z pracy,





[6] Budynek dawnego polskiego przedszkola, do którego uczęszczał mój przewodnik

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

KARWINA-NOWE MIASTO



TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA

Na spacer po Karwinie-Nowym Mieście zabrał mnie przez tamtejszego MK Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego Eugeniusz Herman (fot. 6).

Spacer zaczynamy przy Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście (fot. 1), w czasach minionego ustroju określanej mianem Karwina 6. Dojechać można tutaj równie dogodnie samochodem, jak i autobusem. Jeśli zdecydujemy się na dojazd własnym samochodem, to bez problemu zaparkujemy go na parkingu obok Domu Kultury.

PONAD PÓŁ WIEKU Z DOMEM KULTURY

– Dom Kultury był otwarty w 1964 roku. Dokładnie w kwietniu. Tak więc w kwietniu tego roku były obchody 60-lecia jego otwar-



[1] Dom Kultury



[2] Bloki przy ulicy Górnicej



[3] Tutaj do niedawna były takie same bloki

cia. Przed wybudowaniem były tutaj podmokłe nieużytki – wyjaśnia Herman.

Okazuje się też, że mój przewodnik całe życie, gdy tylko wyjrzy przez okno ze swojego mieszkania, spogląda właśnie na gmach Domu Kultury. – *Od roku 1960 mieszkam w tym bloku. Obecnie na pierwszym piętrze, ale wcześniej mieszkałem na czwartym piętrze, więc widziałem lepiej* – mój przewodnik wskazuje na blok, pod którym właściwie stoimy i na konkretne okno. Stwierdza, że samej budowy jednak zbyt nie pamięta, był wtedy ośmioletnim dzieckiem.

Co do związku Domu Kultury z działalnością MK PZKO, któremu Eugeniusz Herman przewodzi od roku 1990, nie jest on zbyt duży. – *Organizowaliśmy tutaj dwie imprezy. W roku 2002 z okazji 50-lecia założenia naszego Koła (MK PZKO Karwina-Nowe Miasto istnieje od 3 lutego 1952), oraz na 60-lecie istnienia.*

CZĘŚCIOWO WYBURZONE OSIEDLA

Od parkingu pomiędzy Domem Kultury a blokiem, w którym mieszka mój przewodnik, idziemy przez osiedle między

blokami. Eugeniusz Herman wyjaśnia, że osiedle budowano etapami – w pierw tę część za drogą, gdzie za chwilę pójdziemy, a później, w drugiej połowie lat 50. [XX wieku] tę część. Osiedle wówczas nazywano „Stalingradem”.

Przechodzimy na drugą stronę ulicy Górnicej (Havířská, w Karwinie nie obowiązuje urzędowe podwójne nazewnictwo) koło przystanku autobusowego Karwina, Nowe Miasto, Stadion piłki ręcznej (Karviná, Nové Město, stadion házené).

– *W tym miejscu cały teren zabudowywany był takimi blokami, jak te tutaj* – mój przewodnik wskazuje na kilka czteropiętrowych wielorodzinnych budynków, znajdujących się po drugiej stronie ulicy Górnicej, nieco na prawo od wspomnianego przystanku autobusowego (fot. 2). – *Budowano je na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego wieku. Nie wiem dokładnie, ile ich w sumie było, ale wiem, że 21 z nich wyburzono. Tutaj, bardziej na lewo, gdzie tak zielono, do niedawna też były takie same bloki* – mój przewodnik wskazuje na teren nieco na lewo (fot. 3). – *Tutaj mieszkałem, czego jednak nie pamiętam. Urodziłem się jeszcze w Starej Karwinie, a zaraz po tym rodzice otrzymali mieszkanie tutaj, w wówczas*

nowych blokach. Później, kiedy miałem 5 lat, rodzice wraz ze mną wyprowadzili się stąd do bloku, w którym mieszkam do teraz – opowiada historię swych kolejnych przeprowadzek. – *A te bloki burzyć zaczęto w 2013. Blok, w którym się urodziłem, stał w tym miejscu jeszcze w roku 2019* – Eugeniusz Herman wskazuje na fragment trawnika (fot. 4). Wyjaśnia, że kiedyś na osiedlu tym mieszkało bardzo dużo Polaków, którzy przeprowadzali się tutaj z burzonej Starej Karwiny. – *Nasze Koło PZKO liczyło wówczas ponad 800 członków, a obecnie 75* – utyskuje prezes.

Idąc alejką pomiędzy drzewami i krzewami, która jeszcze niedawno była osiedlową drogą, za zielenią po lewej stronie widzimy fragmenty żółtego gmachu czeskiej szkoły średniej (fot. 5). Została otwarta w 1952 roku jako czeska szkoła podstawowa. Mój przewodnik, mimo że mieszkał nieopodal, nie uczył się w niej. Chodził do polskiej szkoły podstawowej i zapowiada, że oczywiście koło niej również poprowadzi trasa naszego spaceru.

Na końcu byłej drogi osiedlowej, tam, gdzie w lewo skręcałoby się do szkoły, my skręcamy w prawo. Dochodzimy do budynku dawnego przedszkola. Było to polskie

[4] Miejsce, gdzie jeszcze w 2019 r. stał blok, w którym urodził się Eugeniusz Herman.



[5] Czeska szkoła średnia, dawniej czeska szkoła podstawowa





[7] Dawny hotel robotniczy, w którego sali restauracyjnej MK PZKO urządzało bale.

[8] Dawny hotel robotniczy przy Placu Budowniczych

przedszkole (fot. 6, str. 38), do którego uczęszczał mój przewodnik, a także jego córki Sylwia i Alicja.

– Kiedy byłem prezesem Macierzy Szkolnej tu, przy tym przedszkolu, to uczęszczała do niego trzydziestka dzieci. Przedtem jeszcze więcej. W 1996 roku przeniesiono go do budynku polskiej szkoły podstawowej w Karwinie-Nowym Mieście – mówi.

Kolejny budynek, który mijamy, a raczej jego ruinę, to dawny hotel robotniczy (fot. 7).

– W tutejszej sali restauracji „Kaktus” nasze Koło urządzało bale – wspomina prezes.

– A tutaj było czeskie przedszkole. Budynki są identyczne, oba przedszkola wybudowano równocześnie – wyjaśnia mój przewodnik wskazując na identyczny, jak poprzedni, tylko otynkowany na ciemno budynek, znajdujący się mniej więcej naprzeciwko zrujnowanego dawnego hotelu robotniczego, obecnie częściowo zamieszkałego przez obywateli narodowości romskiej.

[9] Pomnik poświęcony mężczyznom, którzy zostali wysłani do pracy przymusowej w wojskowych obozach pracy w czasach totalitaryzmu.



SOCREALIZM W PEŁNEJ KRASIE

Ulicą Pokoju (Mirovą) dochodzimy do Placu Budowniczych (nám. Budovatelů). Pierwszym budynkiem, jaki rzuca się w oczy, jest ogromny gmach (fot. 8). – Tutaj również był hotel robotniczy – wyjaśnia mój przewodnik. – A ten pomnik (fot. 9) został odsonięty w 1998 roku. Poświęcony jest żołnierzom armii czechosłowackiej, którzy sprzeciwiali się reżimowi komunistycznemu w latach 50. i 60. ubiegłego wieku, za co przymusowo pracowali w kopalniach, a zakwaterowani byli w tym wielkim budynku hotelu robotniczego – wyjaśnia mój przewodnik.

Przed nami rozciąga się rynek Nowego Miasta (fot. 10). Sam rynek, jak i otaczająca go zabudowa, powstały w latach 50. XX wieku i są modelowym przykładem socrealistycznego budownictwa. Rynek ma kształt bardzo długiego, ciągnącego się przez 200 metrów prostokąta. Mój przewodnik zwraca uwagę na fakt, iż w całym Nowym Mieście jest bardzo dużo zieleni.

[10] Rynek Nowego Miasta



– Nawet jak spotykam się przykładowo z osobami, które przyjeżdżają do darkowskiego sanatorium, to często mówią, że zwrócili uwagę na to, jak tu bardzo dużo zieleni – relacjonuje Herman.

Zabudowa otaczająca ów rynek to przykład klasycznego, funkcjonalnego wczesnego socrealizmu. Czterokondygnacyjne budynki z lokalami usługowymi na parterze, a nad nimi trzy kondygnacje mieszkalne. Budynki przykryte są spadzistymi dachami. Przez często ozdobione rzeźbami bramy wchodzi się na pełne zieleni podwórza (fot. 11). Zgodnie stwierdzamy, że pod tym względem mogłoby to być całkiem przyjemne miejsce do życia. Miasto boryka się jednak z innymi problemami, które życie tutaj uprzykrzają.

SZPITAL

Z rynku wychodzimy na parking (fot. 12). Jak informuje mój przewodnik – dawny dworzec autobusowy. Przed nami jest



[11] Widok na rynek z jednej z bram na wewnętrzne podwórze między blokami



[12] Parking, dawny dworzec autobusowy



[13] Przylegająca do budynku Szpitala Górniczego dawna zawodowa szkoła górnicza. Obecnie budynki są połączone i oba zajmuje szpital.



[14] Skrącając sobie drogę przechodzimy przez budynek szpitalnymi korytarzami.

gmach Urzędu Pracy. Przechodzimy na drugą stronę ulicy Wyzwolenia i skręcamy w lewo, a następnie, zaraz za gmachem urzędu, w prawo, w ulicę Przyjaźni. Dochodzimy nią do szpitala górniczego. Herman wyjaśnia, że kiedyś w przyległym do szpitala budynku było technikum przemysłowe, gdzie były również polskie klasy (fot. 13).

Wchodzimy do budynku szpitala. Mój przewodnik wyjaśnia, że najdogodniejsza dro-

ga, jaką możemy pojsj obejrzeć wszystkie ciekawe miejsca, które podczas tego spaceru chce pokazać, wiedzie... szpitalnym korytarzem.

Zaraz po wejściu do budynku skręcamy w prawo i idziemy długim korytarzem. Na jego końcu skręcamy w prawo. Przez recepcję (fot. 14) wychodzimy głównym wyjściem (fot. 15). Po lewej stronie jest budynek byłej Powiatowej Rady Narodowej.

SZKOŁA

Po wyjściu ze szpitala idziemy kawałek prosto, po czym przy boisku skręcamy w prawo, w ulicę Gustawa Morcinka (fot. 16). W tym miejscu brak dwujęzyczności nie jest odczuwalny. Nazwisko pisarza zapisano bowiem w oryginalnym jego brzmieniu. Mój przewodnik wyjaśnia, że nazwę ulicy nadano w 1991 roku. Imię Gustawa Morcinka nosiła znajdująca się przy tej ulicy polska szkoła podstawowa.

[15] Główne wejście Szpitala Górniczego

[16] Tablica z nazwą ulicy Gustawa Morcinka





[17] Dawna polska szkoła



[18] Teatryk szkolny

Tak dochodzimy do budynku dawnej szkoły (fot. 17). – Chodziłem do niej ja, chodziły tutaj obie moje córki. Została otwarta w 1951 roku. Zamknięta niestety została w 2003 roku. Budynek przejęła karwińska filia uniwersytetu w Opawie. Funkcjonowała tutaj przez 15 lat. W 2018 roku odkupił to prywatny przedsiębiorca i od tego czasu stoi puste. A tutaj był szkolny teatrzyk – mój przewodnik wskazuje na półokrągłą część budynku szkolnego. – W połowie lat 50. minionego wieku, kiedy go wybudowano, było to bardzo nowoczesne. Występowaliśmy tam na scenie, odgrywano tam przedstawienia, występowały tam zespoły, które przyjeżdżały do nas z innych szkół. Były różne zajęcia edukacyjne, wyświetlano filmy. A nasze Koło PZKO swojego czasu miało zespół teatralny. Występowali więc tutaj, na deskach teatrzyku szkolnego. W latach 70. mieliśmy kabarecik. Tworzyło go około 10 osób, również ja, a także mój serdeczny kolega, który jest teraz w Pradze, aktor Janek Szymik. Na deskach tej właśnie sceny graliśmy razem – wspomina Herman. Wyjaśnia, że Szymik, nim na stałe osiadł w Pradze, był członkiem ich Miejscowego Koła PZKO i wspólnie tworzyli kabaret *Dźgacz*. W latach 60. w ramach naszego koła istniał też zespół śpiewaczy *Wesoła Siódemka*.

Herman uzupełnia, że w latach 1952–1964 MK PZKO Karwina Nowe Miasto zebrania miało w pokoju nauczycielskim, a różne imprezy organizowało w teatrzyku szkolnym. Później wzniesiono z drugiej strony budynku szkolnego przybudówkę i tam otrzymali pomieszczenie na siedzibę.

Idąc dalej prosto, wzdłuż płotu okalającego teren dawnej szkoły, wychodzimy wprost na znajdujący się za ulicą Wyzwolenia rynek (fot. 19). My jednak skręcamy, nadal idąc wzdłuż ogrodzenia szkolnego, w lewo. Idziemy chodnikiem w cieniu kasztanowców. Po prawej stronie ciągną się zabudowania górniczego osiedla, po lewej zaś, za wspomnianym szpalerem kasztanowców, dawnej polskiej szkoły (fot. 20). Mój przewodnik wyjaśnia, że na samym początku, gdy szkołę wybudowano, była ona mieszana, polsko-czeska. Jednak rychło dzieci przybyło na tyle, że stała się tylko polską.

Tak dochodzimy do wspomnianej już przybudówki (fot. 21) wzniesionej w ramach czynu społecznego – tzw. *Akcji Z*. Otwarta została 1 września 1964. – Na piętrze mieliśmy siedzibę naszego Koła od roku 64 do roku 75. Problemem był brak osobnego wejścia. Obok były klasy szkolne. A w tam-

tych czasach dzieci uczyły się także popołudniami. Tak więc za zgodą Rady Narodowej sami przeprowadziliśmy remont klasy na dole i zrobiliśmy do niej osobne wejście (fot. 22). Od roku 1975 aż do roku 2018 mieliśmy tutaj, na parterze, fajną świetlicę. Mieściło się w niej około trzydziestu, czasem pięćdziesięciu osób. Mieliśmy tam swój aneks kuchenny, fortepian – po prostu wszystko, co w świetlicy jest potrzebne, by prowadzić działalność – z sentymentem wspomina prezes MK PZKO.

OBCENA SIEDZIBA MK PZKO

Spod dawnej polskiej szkoły i dawnej siedziby MK PZKO wracamy do ulicy Wyzwolenia. Skręcamy w lewo. Po chwili, koło bloku przy ul. Górniczej 35 przez MK PZKO Karwina-Nowe Miasto pokazuje mi lokal, w którym Koło Miało siedzibę (fot. 23). – Od początku roku 2019 korzystamy ze świetlicy w Klubie Seniora „Archa”. Organizujemy tam nasze cztery w roku sztafardowe imprezki: *Dzień kobiet, jajecznicę, stryki i wigilijkę* – wylicza prezes zdradzając, że jajecznicę czy placki, kojarzone raczej są z imprezami ogrodowymi, jednak dysponując tylko świetlicą w bloku,

[19] Rynek widziany od strony ulicy Wyzwolenia



[20] Budynek dawnej polskiej szkoły od strony ulicy Wyzwolenia





[21] Eugeniusz Herman wskazuje okno sali, która przez jakiś czas była świetlicą MK PZKO Karwina-Nowe Miasto.



[22] Wejście do pomieszczeń, które za świetlicę Miejscowemu Kołu PZKO Karwina-Nowe Miasto służyły najdłużej w jego historii, bo aż 43 lat

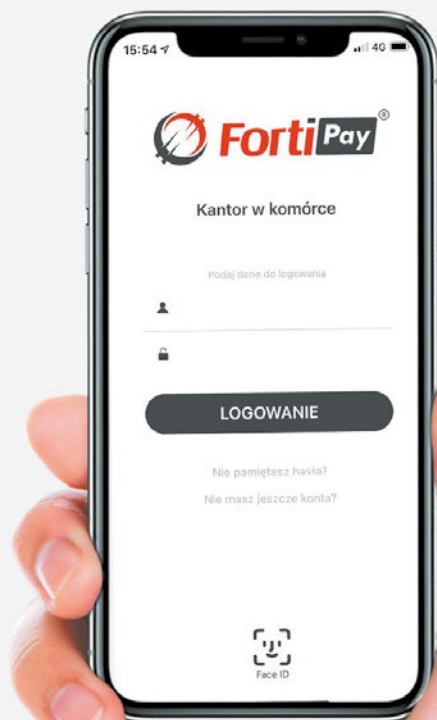
też da się je zrobić. – *Po prostu jak w domu, tyle że dla trzydziestu, czterdziestu osób. A za to, że podarowaliśmy im tutaj fortepian i niektóre rzeczy z wyposażenia naszej dawnej świetlicy, to przez cztery lata mieliśmy wynajęcie tej świetlicy za darmo. Szkoda tylko, że trafiło to na pandemię i wykorzystaliśmy to tylko częściowo. Teraz już musimy płacić. Ale nie są to duże sumy, więc nie stanowi to dla Koła problemu – wyjaśnia prezes.*

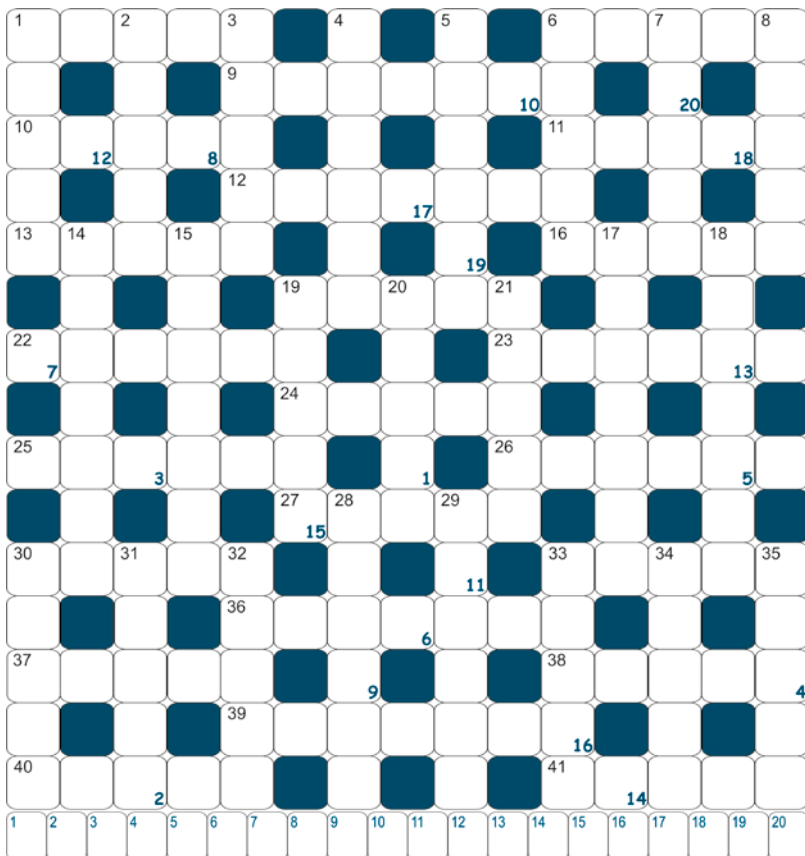
Idziemy jeszcze nieco ponad 100 metrów, po czym dochodzimy do miejsca, w którym zaczęliśmy nasz spacer. – *O! Żona wywiesiła pranie – zauważa mój przewodnik, kiedy żegnamy się na parkingu pomiędzy jego blokiem a Domem Kultury.*

Za nami 3,5 km spaceru po mieście.



[23] Eugeniusz Herman wskazuje okno świetlicy, którą obecnie wynajmuje Koło.



**POZIOMO:**

1. pokaz filmowy
6. bałwan i głupek
9. krąży wokół gwiazdy
10. śpiewa po polsku i po grecku
11. sędził Jezusa
12. niewielki pies aportujący
13. niezgodność z prawdą
16. dawny zespół Marka Grechuty
19. czarny ptak z wróblowatych
22. pracuje z paletą
23. symptom
24. wyznanie
25. na gorącym kakao
26. wywietrznik w spiżarni
27. wjazdowa do posesji
30. zachowanie granic przyzwoitości
33. huragan
36. naręczny chronometr
37. lasy blisko wierchów
38. ciało bez głowy i kończyn
39. polowa w wojsku
40. na szyi skazańca
41. pisemne polecenie

PIONOWO:

1. najniższa część kontynentu zalana przez morze
2. powierzchnia gruntu
3. kraina w Słowacji i Polsce
4. ze *Sportem* w ustach
5. stolica kanadyjskiej prowincji
6. nadmiernie rozmowna białogłowa
7. integral
8. tańczyła z igłą
14. występowanie cech przodków
15. zanieczyszczona u *Augiasza*
17. grzał na stawie
18. surowiec na koszyki
19. pogardliwie o Niemcu
20. ogół dzienników i czasopism
21. niedźwiadek z antypodów
28. zdradzony małżonek
29. materiał niesiony przez lodowiec
30. wrzątek
31. metalowa sztaba
32. podąża korytem
33. składnik benzyny
34. kawałek ociosanego drewna
35. użyźnia glebę

ROZWIĄZANIE DODATKOWE
(Serial o trudnej młodości)

Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przesyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **9 lipca 2024**.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 5/2024: Podróż za jeden uśmiech.

Nagrodę, bon do Vinoteki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Anna Taraba z Gródka. Gratulujemy!



VINOTÉKA JAKUB

**NAJLEPSZE
WINA W
CENTRUM
CZESKIEGO
CIESZYNA**

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

15 W Polskiej Szkole Podstawowej im. Gustawa Przeczka w Trzyńcu odbyła się 26. edycja zawodów w skoku wzwyż, znanych jako Majowa Poprzeczka. W zawodach uczestniczyło 71 uczniów z ośmiu szkół, siedmiu polskich i jednej czeskiej. Najlepszy wynik osiągnął Franciszek Jopek z Jabłonkowa, skacząc 170 cm. Justyna Beneš z Gnojnika zdobyła pierwsze miejsce w swojej kategorii z wynikiem 140 cm. Najwięcej punktów w kwalifikacji ogólnej zdobyła Szkoła Podstawowa z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie.

15 Sekcja Kobiet Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC spotkała się, aby podsumować Spotkanie Wiosenne i omówić plany na najbliższy okres. Spotkanie Wiosenne, które odbyło się 20 kwietnia w Karwinie-Frysztacie, uznano za udane. Dyskutowano o kosztach i logistyce planowanej wycieczki po Polsce. Na koniec złożono życzenia urodzinowe Bronisławie Turonowej z Gródka.

16 Macierz Szkolna w Oldrzychowicach zorganizowała ognisko z pieczeniem kiełbasek w lasku miejskim w Trzyńcu. W zabawie wzięło udział około osiemdziesięciu osób – uczniów oldrzychowickiej małoklasówki, ich rodziców i nauczycieli. ▼



16 W Bibliotece Regionalnej w Karwinie odbył się wykład Małgorzaty Kiereś zatytułowany *Do zakochania jeden krok. O duszy i pięknie karpackich strojów ludowych*. Podczas spotkania M. Kiereś opowiadała o różnorodności strojów ludowych regionu karpackiego, podkreślając ich estetykę i symbolikę. Uczestnicy mieli okazję poznać detale związane z tradycyjnymi ubiorami, ich znaczenie w kulturze oraz różnice między strojami poszczególnych grup etnicznych zamieszkujących Karpaty.

17 W ogrodzie Domu Polskiego PZKO w Sibicy spotkało się przy smażeniu jajecznicy około 120 osób. Oprócz uczyty kulinarnej goście mieli okazję zapoznać się z wystawą o pochodzącej z Sibicy harcerce oraz wybitnej projektantce mody Janinie Górniak, która zmarła tragicznie w pierwszych dniach 2. wojny światowej.

17 Chóry dziecięce *Wiolinki* i *Crescendo* ze Szkoły Podstawowej im. S. Hadyny w Bystrzycy wystąpiły sali koncertowej parafii ŚKEAW w Trzyńcu na tradycyj-



nym Koncercie Majowym. W tym roku nosił on tytuł Piosenka jest dobra na wszystko. Wydarzenie poświęcone było m.in. nadchodzącemu Dniu Matki.

17 W Domu PZKO w Trzanowicach odbyły się obchody Dnia Matki, Dnia Dziecka oraz tradycyjne smażenie jajecznicy. Uroczystość rozpoczęła się od wręczenia kwiatów wszystkim mamom. Następnie dzieci wzięły udział w różnych grach i zabawach, takich jak skakanie w workach, strzelanie z łuku oraz chodzenie po *slacklinie*. Cała impreza zakończyła się wspólnym smażeniem jajecznicy, w którym uczestniczyły zarówno dzieci, jak i dorośli, ciesząc się wspólnym czasem na świeżym powietrzu.

17-19 Członkowie Miejsowego Koła PZKO z Nydku wyruszyli na trzydniową wycieczkę do Wrocławia, podczas której zwiedzali najważniejsze atrakcje miasta. Rozpoczęto od zwiedzania najważniejszych zabytków Starego Miasta i Ostrowa Tumskiego. Uczestnicy obejrzeli również Panoramę Raclawicką. Następnie odbył się rejs statkiem po Odrze. Drugiego dnia odwiedzono Hydropolis, ZOO i Afrykarium, a dzień zakończył się pokazem fontanny multimedialnej. Trzeciego dnia grupa zwiedziła Kolejkowo, największą makiętę kolejową w Polsce oraz SkyTower, skąd podziwiać można panoramiczny widok na miasto. ▼



18 XXI Rajd do Źródła Olzy zorganizowany przez Sekcję Kolarską Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego *Beskid Śląski* oraz Turystyczny Klub Kolarski PTTK *Ondraszek* odbył się z udziałem gości specjalnych – kolarzy z Rzeszowskiego Towarzystwa Rowerowego. Rajd rozpoczął się od spotkania w Jabłonkowie, skąd uczestnicy wyruszyli na trasę wiodącą do Źródeł Olzy. Zanim uczestnicy rajdu dojechali pod Gańczorkę, zwiedzili po drodze Muzeum Jana Wałacha w Istebnej-Andziołowce. Po dotarciu do Źródeł Olzy odbył się wspólny piknik. Tradycyjnie Zbigniew Pawlik z *Ondraszka* wręczył puchary dla najmłodszego i najstarszego uczestnika rajdu oraz podziękował za uczestnictwo Rzeszowskiemu Towarzystwu Rowerowemu. Jego członkowie pod opieką prezesa Sekcji Kolarskiej *Beskidu Śląskiego* Roberta Wałaskiego przedłużyli sobie rajd o kilkadziesiąt kilometrów i kilka stromych podjazdów. Zaliczyli najdalej wysunięty na wschód punkt Czech i Trójstyk. ▼



18 W Teatrze Cieszyńskim odbyła się premiera spektaklu Sceny Lalek *Bajka zatyłowanego Jaś i Małgosia*. Przedstawienie w reżyserii Jakuba Tomosza jest adaptacją klasycznej baśni braci Grimm. Spektakl skierowany jest do dzieci i dorosłych, którzy pragną przeżyć magiczną przygodę z Jasiem i Małgosią, odkrywając zakątki tajemniczego lasu i chatki z piernika. ▼



18 Miejskowe Koło PZKO w Boguminie-Skrzeczoniou zorganizowało trzy udane wydarzenia: smażenie jajecznicy, obchody Dnia Dziecka oraz mistrzostwa Koła w rzucaniu strzałkami. Blisko 40 członków i sympatyków Koła uczestniczyło w pierwszych dwóch wydarzeniach, które odbyły się w Domu PZKO. Tradycyjne smażenie jajecznicy przygotowały panie z Klubu Kobiet. Z okazji zbliżającego się Dnia Dziecka, przewodnicząca Klubu Młodych, Justyna Wojwoda, zorganizowała dla najmłodszych uczestników kilkanaście gier, zabaw oraz zadań z matematyki i chemii, rozwijających umysł i wyobraźnię. W ogrodzie obok Domu PZKO odbyły się XII mistrzostwa Koła w rzucaniu strzałkami.

18-19 Teatr im. Jerzego Cierciały w Wędrynie wystawił spektakl *Test* katalońskiego autora Jordi Vallejo Duarri, w polskim tłumaczeniu Rubi Birden. Spektakl wyreżyserował Janusz Ondraszek. Sztuka poruszała tematy miłości, kłamstw i ukrytych pragnień. Aktorzy wspaniale odegrali swoje role, co spotkało się z pozytywnym odbiorem publiczności. ▼



19 W Wierzniowicach odbyła się wyjątkowa wystawa z okazji odpustu parafialnego. Największą atrakcją był powrót 30-kilogramowego Dzwonu Pokoju skradzionego przez wojska niemieckie podczas II wojny światowej. Na wystawie można było również zobaczyć stare mapy oraz butelki z etykietami pochodzącymi z dawnego browaru w Karwinie. Jednym z najbardziej cennych okazów była widokówka upamiętniająca wizytę cesarza Franciszka Józefa I w Boguminie. Większość eksponatów pochodziła ze zbiorów prywatnych prezesa MK PZKO – Marcela Balcaraka.

19 W kościele św. Jana Chrzciciela w Lutyni Dolnej odbył się wyjątkowy koncert poświęcony pamięci św. Jana Pawła II z okazji 10. rocznicy jego beatyfikacji. W wydarzeniu uczestniczyły chóry *Zaolzie*, *Olzanki* z Polski oraz *Collegium Cantorum*, a program wzbogaciły recytacje wierszy Karola Wojtyły i wspomnienia jego uczniów. Na zakończenie wszyscy wspólnie zaśpiewali ulubioną pieśń papieża, *Barękę*. Koncert spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem publiczności.

*** W Piosku powstał *deskal* upamiętniający Marię *Chraścinkę* Suszkową, ludową poetkę z Pustek. Mural, namalowany przez Arkadiusza Andrejkowa, znajduje się na drzwiach stodoły Karola Kurzysza. Projekt ma na celu zachowanie pamięci o ważnych postaciach regionu i jest częścią większej inicjatywy realizowanej przez Kapelę Lipka i Kongres Polaków w RC. ▼



21 Miejskowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Ostrawie zorganizowało spotkanie z profesorem Karolem Danielem Kadłubcem. Profesor przedstawił swoje dwie książki: *Tak się u nas opowiada* oraz *Mały leksykon kultury ludowej Śląska Cieszyńskiego. Kultura duchowa*. Podczas spotkania podkreślił wartość opowiadania jako dialogu między nadawcą a odbiorcą. Po wykładzie uczestnicy skosztowali zielonoświątkowej jajecznicy.

23 Na stadionie lekkoatletycznym w Trzyńcu odbyły się XL Igrzyska Lekkoatletyczne uczniów polskich szkół na Zaolziu. W zawodach wzięło udział blisko 400 uczestników z 23 szkół. Młodzi sportowcy rywalizowali w różnych dyscyplinach, takich jak biegi, skoki w dal i wzwyż, rzut piłeczką oraz pchnięcie kulą. Znicz zapalił Ryszard Kwiczala, uczeń 7. klasy polskiej szkoły w Karwinie. Ślubowanie złożyła w imieniu uczestników Adriana Rzyman z tej samej szkoły. W klasyfikacji szkół pełnoklasowych zwyciężył Czeski Cieszyn, natomiast w klasyfikacji małoklasówek zwyciężyła szkoła z Oldrzychowic. ▼



24 W Ośrodku Kultury *Strzelnica* w Czeskim Cieszynie odbyły się uroczystości jubileuszowe z okazji 150-lecia Szkoły Podstawowej z Polskim Językiem Nauczania w Sibicy oraz 105-lecia miejscowego przedszkola. W wydarzeniu uczestniczyli rodzice, pracownicy obu placówek, byli nauczyciele oraz zaproszeni goście. Dzieci zaprezentowały bajkę muzyczną *Jaś i Małgosia trochę inaczej*, przygotowaną przez nauczycielki. Muzykę do bajki skomponował Andrzej Macoszek. Goście po programie mieli okazję obejrzeć wystawę pt. *150 lat polskiego szkolnictwa w Sibicy*, którą przygotowali Marian Steffek z Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków oraz Stanisław Kołek, kronikarz Miejskowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Sibicy.

24 Motocykliści w ramach XVII Spotkania Motocyklistów na Śląsku Cieszyńskim im. Komandora Wiktora Węgrzyna odwiedzili Zaolzie. Najpierw złożyli kwiaty pod tablicą upamiętniającą pobyt Wincentego Witosa w Gródku. Później przyjechali do Polskiej Szkoły im. Gustawa Przeczka w Trzyńcu. Uczestnicy wysłuchali prelekcji na temat działalności szkoły, obejrzeli występy uczniów i zwiedzili placówkę. Po spotkaniu w szkole motocykliści odwiedzili miejsca pamięci związane z historią Polski na Zaolziu. Rajd zgromadził około pięćdziesięciu uczestników z różnych części Polski. ▼



25 W Koszarzyskach odbyło się tradycyjne *Miyszani łowiec*, organizowane przez miejscową gminę i organizacje. Wydarzenie, które miało na celu powrót do dawnych tradycji pasterskich, przyciągnęło wielu mieszkańców i turystów. W trakcie imprezy odbyły się pokazy pracy psów pasterskich, a uczestnicy mogli poznać proces mieszania owiec. Dodatkowo przygotowano stoiska z regionalnymi przysmakami oraz rękodziełem. Uczestnicy mogli podziwiać m.in. Zespół Pieśni i Tańca *Olza*, chór *Goral* i kapelę *Czerchla*. Wystąpili również dzieci z miejscowej szkoły. Na zakończenie dnia punktem kulminacyjnym był koncert znanego zespołu folk-rockowego *Bartnicki* z wokalistą Bogdanem Bartnickim na czele. ▼



25 W Bukowcu, w Domu PZKO, odbył się *MajBal* zorganizowany przez Klub Młodych. Wydarzenie przyciągnęło ponad 100 uczestników, którzy bawili się przy muzyce DJ Ondraszka do późnych godzin nocnych. ▼



25 W Piosku uroczystość obchodzonego jubileusz 150-lecia polskiego szkolnictwa w gminie. Uroczystości rozpoczęły się od otwarcia wystawy jubileuszowej w remizie strażackiej. Autorem wystawy był Marian Steffek z Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w RC. Wystawa przedstawiała historię polskiej edukacji w Piosku oraz zaprezentowała fotografie, dokumenty i inne pamiątki związane ze szkołami na Bagińcu, w Piosku i z polskim przedszkolem w Piosku. Po wystawie odbył się festyn, na którym wystąpili uczniowie i absolwenci szkoły, chór męski *Goral* oraz kapela *Lipka*. Wieczorem zagrał zespół *Dr.Ong*. ▼



26 W Bystrzycy odbył się III Rajd Dziecięcy, zorganizowany przez Sekcję Kolarską Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego *Beskid Śląski*. W rajdzie wzięło udział ponad 90 osób, którzy pokonali dwie trasy różniące się długością i stopniem trudności. Uczestnicy mieli również do rozwiązania zagadki związane z *Skarbem Majów*. Na mecie każdy uczestnik otrzymał pamiątkowy puchar, a na najmłodszych czekała niespodzianka w postaci dmuchanego zamku.

26 Chór dziecięcy *Cieszynianka* obchodził swoje 50-lecie podczas uroczystego koncertu w Kinie Central w Czeskim Cieszynie. W wydarzeniu uczestniczyli rodzice, dziadkowie, absolwenci chóru, nauczycielki z przedszkoli oraz sympatycy zespołu. Program rozpoczął się od wiersza *Cieszynianka*, a następnie publiczność obejrzała film przypominający historię chóru. Na scenie wystąpili absolwenci oraz obecni członkowie chóru. Dzieci śpiewały utwory znajdujące się w śpiewniku wydanym przez Scenę *Lalek Bajka*. Dlatego też aktorzy zdecydowali się towarzyszyć im podczas śpiewu, co dało wspaniały efekt. Dzieciom akompaniowały Maryla Mendrek oraz Tamara Tomoszek. ▼

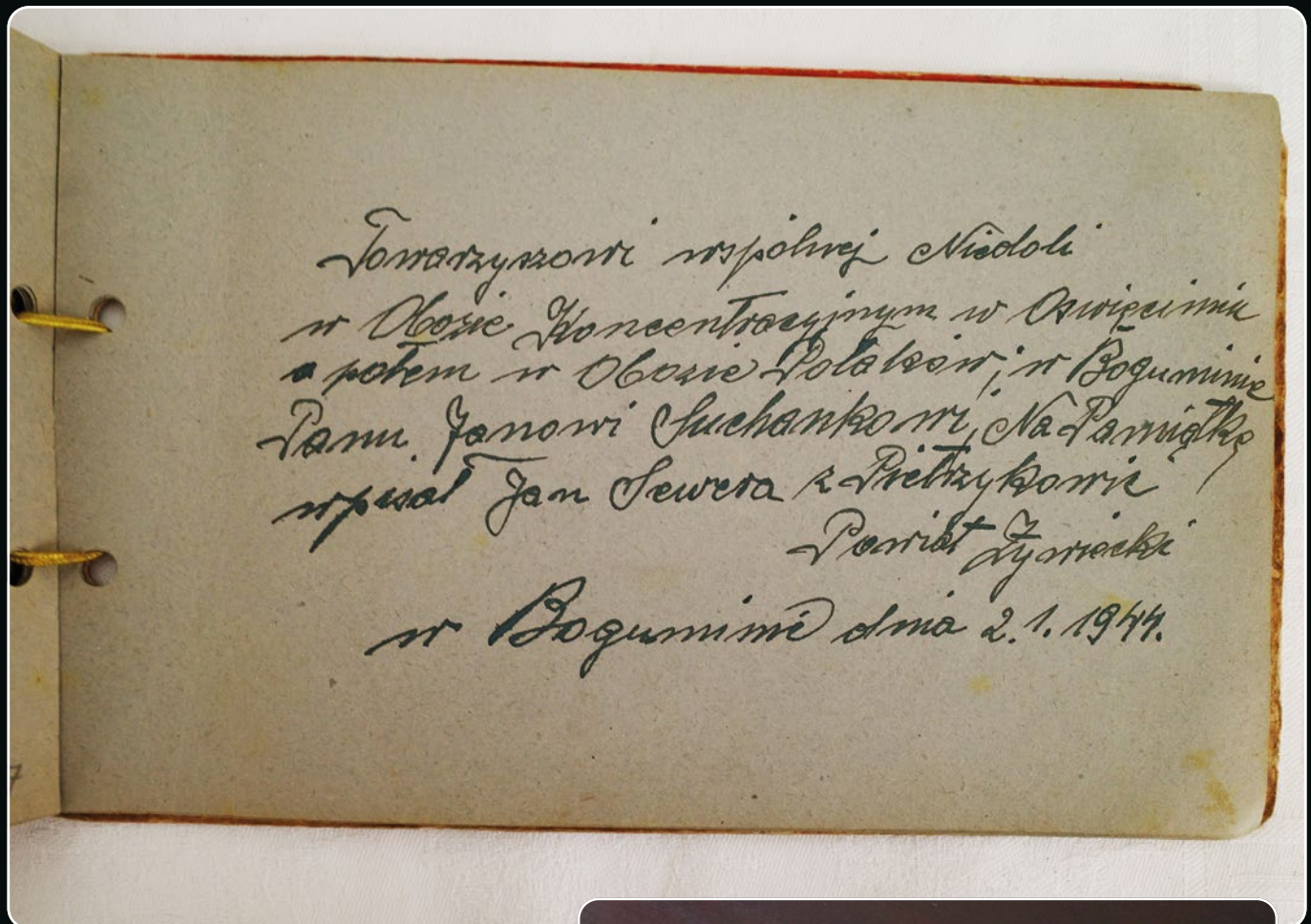


31 Gródeckie PZKO zorganizowało dla dzieci z polskiej podstawówki Dzień Dziecka, aby podziękować im za występy na imprezach PZKO. Uczniowie brali udział w quizach, konkurencjach kreatywnych i zręcznościowych, takich jak budowanie wieży z cukierków i patyczków oraz projektowanie stroju rycerza Bełki. Najlepsze drużyny otrzymały nagrody. Dzieci poczęstowano również domową pizzą i słodkimi przekąskami.

PAMIĄTKA RODZINNA

PAMIĘTNIK Z POBYTU W OBOZIE PRACY PRZYMUSOWEJ POLENLAGER NR 32 W BOGUMINIE

Własność: Bolesław Suchanek / Opis: Sylwia Grudzeń



Towarzyszowie wspólnej Niedoli
w Obozie Koncentracyjnym w Oświęcimiu
a potem w Obozie Polaków w Boguminie
Panu Janowi Suchanowi, Na Pamiątkę
wpisał Jan Sewera z Pietrzykowic
Powiat żywiecki
w Boguminie dnia 2. 1. 1944.

Okładka i jedna ze stron pamiętnika należącego do Jana Suchanka (ojca Bolesława) z wpisem Jana Sewery z Pietrzykowic:

Towarzyszowie wspólnej Niedoli w Obozie Koncentracyjnym w Oświęcimiu, a potem w Obozie Polaków w Boguminie Panu Janowi Suchanowi. Na Pamiątkę wpisał się Jan Sewera z Pietrzykowic, Powiat żywiecki.

W Boguminie dnia 2. 1. 1944

Więcej na temat pamiętnika i kolei losu Jana Suchanka w środku numeru.



Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.